Nr. 5. Kraków, w maju 1905 r. Rok VI.

PRZODOWNICA

Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

MAJ.

W kościółku pełno woni,
Kwiaty ją ślą majowe,
A słonko złote wpada,
Przez okna kolorowe.

I barwne wiesza tęcze,
Po szarym, starym murze,
A pieśń „Serdeczna Matko“
Brzmi na kościelnym chórze.

Przed ołtarz Maryi spieszą
Starzy i pacholęta,
A Ona patrzy na nich
Tak słodko uśmiechnięta, ...

Jakby powiedzieć chciała:
Przychodźcie do mnie dziatki,
Gdy was co boli, smuci,
Jak do rodzonej matki.

Jam uzdrowienie chorych,
Ucieczka utrapionych,
Jam siła i wytrwanie
Cierpiących i zgnębionych.

Wonne kadzidła dymy
Wzbijają się ku górze —
Litania do Matki Boskiej,
Brzmi w pełnym, zgodnym chórze.

I spływa radość w serca
I ulga i pociecha,
A Matka Przenajświętsza
Wciąż słodko się uśmiecha. . . .

Janina Różańska.

Przeworsk.

Trzeci Maja

1791 roku.

Sława, jaką się szczycą mocarstwa i narody, polega zwykle na zwycięstwach, odniesionych w krwawych bitwach i przewagach, uzyskanych zapomocą broni. Naród polski, jak w wielu innych względach, tak i na polu sławy, odrębne od innych zajmuje stanowisko. Historya jego, obok długiego szeregu przewag orężnych, które niezliczone razy ozdobiły chorągwie polskie wawrzynami zwycięstwa, wykazuje zdarzenia bezkrwawe, zdarzenia pokojowe, które przecież, chociaż nie obmyte krwią, przynoszą narodowi naszemu nieporównany zaszczyt i wiekopomną chwałę. Zaszczyt i chwałę tem większą, tem świetniejszą, że opartą na dobrym, na wspaniałym czynie dziejowym, niepołączonym z niczyjem upokorzeniem, z niczyją klęską.

Do zdarzeń takich, w dziejach naszych, należy uchwalenie słynnej Konstytucyi w dniu 3-go maja 1791 r.

W Polsce panowała zawsze większa wolność, aniżeli równocześnie w jakimkolwiek innym kraju na ziemi. Stan rycerski, który rządził Rzeczapospolitą i króla obierał, używał tak wielkiej, prawdziwie idealnej wolności, że słusznie ją „złotą“ nazwano. Mieszczanie posiadali obszerny samorząd i w miastach sami sobą swobodnie rządzili; wieśniacy wreszcie, odrabiający pańszczyznę w dobrach prywatnych, wolnymi byli w posiadłościach narodowych, zwanych dobrami królewskiemi i prócz płacenia czynszu dzierżawnego z używanych gruntów, nie mieli żadnych innych obowiązków publicznych. Najcięższy z tych obowiązków: służba wojskowa, ciążył na rządzącej warstwie narodu, na szlachcie, czyli stanie rycerskim, który w zamian za posiadaną wolność i znaczenie, obowiązanym był bronić Rzeczypospolitej z orężem w ręku.

Jak oaza cienista wśród piaszczystej pustyni, stała wolna Polska pośród despotycznie rządzonych krajów ówczesnej Europy. W każdym z tych krajów wolnym był tylko jego monarcha, wszyscy zaś obywatele byli tylko różnych stopni niewolnikami, uciskanymi dowolnie przez wyżej położonych, a uciskającymi niższych od siebie. W krajach tych nieuciskającymi byli jedynie wieśniacy, którzy uciskani, sami już nie mieli kogo ciemiężyć. Tak było w owe czasy w Anglii, Hiszpanii, Francyi, Niemczech, a zwłaszcza w Prusach i w Moskwie, z Polską graniczących.

To też nie dziw, że rządy samowładne tych państw, zawistnem okiem patrzyły na wolność polską, jako na „zły przykład“ dla srodze uciśnionych ich poddanych.

Dopóki Polska była silną i potężną nie wiele jej zawiść ta szkodziła, lecz gdy przyszły na nią ciężkie czasy, w drugiej połowie osiemnastego wieku, Moskwa i Prusy nie omieszkały z tego skorzystać i zmówiwszy się ze sobą, a przypuściwszy Austryę do spółki, w r. 1773 wydarły Polsce część jej krajów.

Niecny ten czyn naszych sąsiadów, zwany w historyi pierwszym Polski rozbiorem, pobudził patryotów polskich, to jest ludzi Polskę i wolność miłujących, do zastanowienia się nad przyczynami osłabienia Rzeczypospolitej i obmyślenia sposobów podźwignięcia jej z niemocy do dawnego stanu potęgi i siły, jaką błyszczała za czasów króla Zygmunta I-go, Zygmunta Augusta i Batorego, kiedy to świat cały wielbił ją i podziwiał, a chorągwie polskie wszędzie tam powiewały, gdzie trzeba było bronić sprawiedliwości i wolności. Zastanawiając się tak, przychodzili zwolna do przekonania, iż wobec wzrosłej potęgi sąsiednich mocarstw, pragnących kosztem Polski podległe im kraje powiększyć, sama szlachta, sam stan rycerski, nie zdoła ojczyzny obronić, lecz do obrony tej potrzeba powołać cały naród, a więc także mieszczan i włościan. Nakładając zaś na stany te obowiązek, ciążący dotychczas tylko na szlachcie, należy im dać takie same swobody, taką samą wolność, jaką się cieszy stan rycerski.

Naturalnie, iż z powodu panujących wówczas na całym świecie przesądów, do takiego przekonania nawet najlepsi patryoci bardzo powolnie przychodzili. To też dopiero w r. 1788, gdy zebrał się zwykły sejm w Warszawie, okazało się, iż znaczna część posłów z miłości ku swobodzie i Rzeczypospolitej, gotową jest stopniowo przypuścić cały naród do używania zupełnej wolności.

W roku tym wszystko dla Polski pomyślnie układać się zaczęło. Wojsk moskiewskich w Polsce nie było, a caryca Katarzyna II., główna nieprzyjaciółka Polski i wolności, prowadziła wojnę z Turkami i Szwedami, która jej niemało sprawiała kłopotów, nie mogła więc przeszkadzać Polakom w ulepszaniu praw i urządzeń Rzeczypospolitej.

Postanowili z tego korzystać patryoci.

Sejmy w Polsce zbierały się co lat dwa i dzieliły się na sejmy **wolne** i na **skonfederowane**.

Na sejmie wolnym, jakie się zwykle odbywały, stanowiono jednomyślnością, to znaczy, iż uchwały sejmu dopiero wówczas ważność miały, jeżeli się na uchwały te, zgodzili wszyscy obecni na sejmie posłowie.

Sejmy skonfederowane uchwalały większością głosów.

Wiadomo, iż co głowa, to rozum i o to, by większa liczba osób zgodziła się na jedno i to samo, wcale nie łatwo. Trudna ta rzecz nieraz wprawdzie na naszych sejmach się zdarzała, patryoci jednak, wiedząc, że caryca Katarzyna wszelkimi sposobami przeszkadzać będzie uchwaleniu ustaw, mających na celu wzmocnienie potęgi Rzeczypospolitej i postara się swoim zwyczajem o płatnych zdrajców pomiędzy sejmującymi, postanowili sejm skonfederować. Zamiar ten powiódł się szczęśliwie i sejm, zawiązany w konfederacyę, wybrał dwóch marszałków, czyli przewodniczących obrad, jednego dla **Korony**, t. j. dla Wielkopolski, Małopolski i Rusi, drugiego dla **Litwy**. Taki bowiem był zwyczaj. Marszałkiem koronnym został **Stanisław Małachowski**, poseł sandomierski; litewskim **Kazimierz Sapieha**, generał artyleryi litewskiej, a poseł brzesko-litewski.

Wkrótce okazało się, iż zamieniając sejm w konfederacyę, bardzo mądrze zrobiono, znaleźli się bowiem niestety pomiędzy posłami stronnicy moskiewscy, którzy starali się wszelkimi sposobami przeszkadzać obradom sejmu. Teraz jednak, wobec stanowienia większością głosów, zabiegi ich na to jedynie się zdały, iż sejm dużo czasu tracił i zbyt wolno pracował, ale zerwać go, lub zatamować jego czynności i uniecestwić niemiłych dla Moskwy uchwał, nie było sposobu.

Sejmy w Polsce, jak już wiemy, zbierały się co lat dwa i na każdy z nich nowych wybierano posłów; tymczasem tak z powodu ogromu poruszonych spraw, jak i przeszkód, stawianych przez wspomnionych stronników Moskwy, sejm nie był jeszcze gotów ze swojemi pracami, a mijał już rok drugi od jego otwarcia. Zamknąć sejm i wybrać nowych posłów, znaczyło tyle, jak całą pracę zniweczyć i na nowo ją zaczynać. Postanowiono więc odwołać się do narodu, t. j. zwołać sejmiki po wszystkich województwach i ziemiach Rzeczypospolitej i na nich obrać nowych posłów, z którymiby razem dotychczasowi, przez lat dwa jeszcze radzić mieli prawo.

W dniu 16 grudnia 1790 roku, zebrał się sejm w Warszawie, w podwójnej liczbie posłów i długo jeszcze obradował, aż dnia **3-go maja 1791 roku**, uchwalił na świat cały sławną Konstytucyę.

Konstytucya ta, czyli podstawa praw, według których Polska na przyszłość rządzić się miała, była bardzo mądrze obmyślaną. We Francyi, gdy zaprowadzano wolność, to zniesiono szlachectwo i w ten sposób zrównano naród. Nasz sejm postąpił odmiennie. On nikomu nic nie odbierał, owszem wszystkim dawał; postanowił bowiem tak dowcipne przepisy, iż dzięki tymże, w niedługie lata cały naród polski byłby się zamienił w szlachtę, w stan rycerski i w ten sposób stał zupełnie wolnym i równym.

Tymczasem nowa Konstytucya przypuszczała mieszczan do zupełnej niemal równości ze stanem rycerskim, a włościan brała pod szczególną opiekę prawa. Poprawiała również w wielu względach dawne prawa Rzeczypospolitej i znosiła rozmaite z nich, które chociaż były piękne w zasadzie, to przecież w zastosowaniu okazały się niepraktycznemi, jak n. p. wspomniona wyżej jednomyślność w uchwałach sejmowych.

Co prawda, to tylko polski sejm mógł w ten sposób wprowadzać wolność i równość. W Polsce były one zawsze, tylko nie obejmowały całego narodu; trzeba je było jedynie na cały naród rozszerzyć. We Francyi nie było czego rozszerzać i rozdawać, bo tam przed rewolucyą z r. 1789, nikt nic nie wiedział ani o wolności, ani o równości.

Sejm, który ustanowił Konstytucyę 3-go maja, składał się wyłącznie ze szlachty; w kraju panował zupełny spokój i ani mieszczanie, ani włościanie nie domagali się rozszerzenia praw swoich i nie wywierali na sejmujących najmniejszego nacisku. Wszystko co ci szlacheccy posłowie uchwalili, uchwalili z miłości ku wolności i ojczyźnie, czując, że szlachta sama, bez współdziałania całej reszty narodu nie potrafi podołać wrogom, czyhającym na Polskę. Uchwalili, wbrew swoim stanowym interesom, z własnej, wolnej, a nieprzymuszonej woli.

Coś podobnego nigdzie indziej nie wydarzyło się na świecie i dlatego ówczesnemu sejmowi należy się cześć i wdzięczność narodu, a dzień 3-go maja 1791 roku, jest dniem

pełnym chwały, który dumą i radością napawać może każdego Polaka.

Równocześnie, gdy sejm nasz, który ustanowił Konstytucyę 3-go maja, obradował w Warszawie, na drugim krańcu Europy, we Francyi lud dobijał się wolności. Ale tam sprawy nie szły tak gładko, jak w Polsce i zanim lud francuski uzyskał wolność i równość, morze krwi bratniej przelano.

Naród polski wiedział, co się dzieje na francuskiej ziemi, to też sto czternaście lat temu, dnia 3-go maja. w którym spodziewano się ukończenia obrad nad Konstytucyą, tłumy ludu czekały przed zamkiem królewskim w Warszawie, na którym posłowie radzili. Czekały od świtu, a gdy radosna wieść o uchwaleniu Konstytucyi, z zamku wybiegła, taka wśród ludu powstała radość, iż płakano z uciechy i uniesienia.... Nieznajomi rzucali się sobie w objęcia i całowali jak bracia, śmiertelni nieprzyjaciele, zapominając wzajemnych krzywd i obrazy, w szlachetnem uniesieniu podawali sobie długo rozdzielone prawice....

Na wspaniałych schodach zamkowych błysnęły pąsowe, srebrem szyte, mundury gwardyi królewskiej, szczęknęła broń przez nią prezentowana. Z podwoi zamku wysunął się orszak poważny, wspaniały, a różnobarwny. Zaświeciły barwiste żupany, bogate pasy i karabele. To posłowie, senat i król dążą do kościoła, by podziękować Najwyższemu, że zdołali dokończyć swej pracy — dążą, by przysiądz na nową Konstytucyę....

Radośne okrzyki zabrzmiały wśród tłumów.

„Niech żyje wolność! Niech żyje Konstytucya! Niech żyje król!“ — grzmiało dokoła.

Lud w radosnem uniesieniu porwał na ręce marszałków sejmu: Stanisława Małachowskiego i Kazimierza Sapiehę i zaniósł ich do kościoła Ś-go Jana, nieopodal zamku leżącego.

Tu król, senat, posłowie i lud obecny, składali uroczystą przysięgę na wierność Konstytucyi, a z przed zamku królewskiego grzmiały armaty. Do wtóru im ozwały się dzwony warszawskich kościołów i na falach swych dźwięków niosły wieść radosną o wschodzącem słońcu wolności dla wszystkich Polski mieszkańców. Niosły tę wieść na całą Rzeczpospolitą, na świat cały....

Nieszczęśliwy zbieg wypadków dziejowych, o których pisaliśmy nie dawno, bo w marcowym zeszycie *Przodownicy*, nie długo dał narodowi polskiemu korzystać ze zbawiennych postanowień Konstytucyi 3-go maja, Konstytucyi, która gdyby się była utrzymała i rozwinęła, w myśl zamiarów jej twórców, bylibyśmy dzisiaj najwolniejszym i najszczęśliwszym narodem na świecie. Lecz i tak, jest ona dla nas wspaniałą spuścizną, a zarazem dowodem, że Polska to nie tylko ta ziemia nasza, te starożytne grody, te ciemne bory i srebrne rzek wstęgi, nie tylko ten lud po polsku, rusku i litewsku mówiący; ale, że to zarazem wielka i potężna idea, wielkie i potężne dążenie do wolności, szczęścia i sprawiedliwości, które prędzej, lub później, zwyciężyć musi i zwycięży.

Inż. E. Śmiałowski.

ANULKA.

Zdawało się, że niebo oczętom jej udzieliło swego błękitu a słonko złotem malowało śliczne kędziorki. Była też pieszczoszką całej wsi czteroletnia Anulka, bo też to miłe było i serdeczne dziewczątko.

Gdy siadała wraz z przyjacielem swym kudłatym Żółtanem na progu matczynej chałupy, a jęła śpiewać posłyszane u starszych piosenki, to cieniutki głosik dziecięcy wraz z powiewem wiatru ulatywał w pola, w lasy, dochodził do łąk kwietnych, dosięgał srebrzystych obłoczków — zdawało się, że to dzwonek, a nie pierś dziecinna dzwoni.

Pies łeb swój czarny na kolanach oparł dziewczynki, ona opaloną rączkę na jego sierci kładła, gładząc ją, a on warczał radośnie, kręcąc ogonem. Oboje byli radzi, cieszyli się słonkiem, świeżą trawką, kwieciem wiśniowym, wonią czeremchy, świergotem ptasząt — cieszyli się wiosną.

A gdy w niedzielę na mszę św. do wiejskiego poszła kościółka, klękała na matczynej spódnicy, rączki złożyła, oczęta w górę podniosła, wówczas i ten i ów patrzał, rychło jasne skrzydełka dziecina dostanie a ku niebu uleci.

Kochała też Maciejowa swą jedynaczkę, aj kochała! Od ust sobie żałowała byle Anulce mleka i bułki nie brakło. Myśleli sobie ludzie, że zanadto dziecku dogadza i psuje zbytkami, ale Anula dobrą była, więc i nie mówili nic.

Dziewczynina już gęsi paść próbowała, i chwasty wyrywać w ogrodzie, ale Maciejowa na ręce ją wtedy brała, na próg chaty sadzała i tknąć się niczego nie pozwoliła.

— Nie tobie rączyny ziemią walać, królewno moja — wołała tuląc dziecko do piersi, a gdy wieczorem, do snu układała, szeptała cicho:

— Śliczny królewicz w bogatych szatach, przyjedzie w złocistej karecie po moją Anulę i zawiezie ją w kraj taki śliczny, gdzie nigdy żalu, ni łez, ni strapienia nijakiego nie zazna.

A dziecię, na pół już śpiące szeptało, nie otwierając ocząt:

— A Żółtana także?

Ale matka przejęta swojem opowiadaniem nie słyszała słów Anuli, a szeptała dalej, słowa swoje ubierając w monotonną melodyę.

— Przejasny książę do nóg mi upadnie, abym mu córkę oddała. I zawiezie ją do pałacu z kryształu, do ogrodu pełnego zagranicznego kwiecia i owocu, i ptastwa o złocistych piórkach i zwierzętach różnego rodzaju, i będzie raj na ziemi.

I długo, długo jeszcze marzyła zaślepiona matka, jakby to zdobyć dużo pieniędzy dla Anuli, która tymczasem usnęła niewinnym snem dziecka — a Maciej przyszedł z pola. Ziemi mieli tyle, że mogli żyć spokojnie i pracować na roli, ale Maciejowej zdawało się to za mało.

— Śpi nasza królewna — powitała męża, szykując mu wieczerzę.

A on, spracowany, pochylił się nad dzieckiem i lekko włoski ucałował.

— Dużo nam pieniędzy trza, — odezwała się Maciejowa — Anula rośnie, trzeba jej wiano królewskie uzbierać.

— Już... daleko to jeszcze — odparł rozsądniejszy od żony Maciej.

— Czas leci — odrzecze żona — ani się opatrzy! ot i teraz słonko wiosenne wstało, wnet ono dopiekać zacznie, potem ochłodnie, zziębnie, śniegi świat pokryją i roczek minął — a roczek taki okrągły, toczy się niby kula i raz wraz minie ich dziesięć. A nam trza dużo, dużo setek uzbierać. Skąd zaś wziąć?

Zafrasował się Maciej, bo wiedział do czego żona zmierza — od roku prawie, ciągle tylko myśli i mówi o tem, aby do Prus na robotę iść i talarów pruskich do domu przywieść. — My z tej ziemi — mówiła dalej Maciejowa — grosza nie zbierzemy, chociażbym i po łokcie ręce urobiła i tak więcej nie uzbieram jak teraz.

— A przecież ta ziemia to cała dla Anuli kiedyś będzie.

— Iii! — odrzekła z pogardą, dużo też tego! Michał przyniósł z jesienią trzy okrągłe stówki!

— Tak, a w zimie wszystko prawie przepił. Bo i prawda. Narobił się chłop za trzech, jedzenie mizerne dostawał, bo już że Prusak naszego nie rozpieści to nie! ano tak chłop wrócił do wsi wymordowany, wygłodzony, a że roboty w zimie nijakiej nie miał, bo kto z wiosną nie sieje w zimie niema co młócić, tak i zaczął pić i nie tylko Boga obrażał ale i krwawicę przepił.

— Bo i dla kogóż miał chować? My bo mamy dla kogo! ot, pójdę ja teraz razem z innemi.... był wczora inspektor, trza mu trzydziestu bab — co prawda ostało nas we wsi tylko dziesięć, to z drugiej wsi dobierze resztę i pojedziemy.

— Jużby ta lepiej było żebyś przy dziecku ostała.

— Wydziwujesz, Anula zostanie u Hanki, dziewka stara to i mądra, a Anulę lubi, ta i krzywdy dziecku nie zrobi. A we dworze obiecują po marce dziennie, odtrącą coś nieco na kaucyę, ale zawsze jeszcze sporo zostanie grosza!

— E! taki tam grosz pruski!

I sprzeczali się wieczór cały, i na drugi dzień jeszcze i na trzeci, ale że Maciej miękki był i żoninę jeno wolę znał, tak i poszła Maciejowa do obcych, zdobywać szczęście dla ukochanej dzieciny.

Płakała Anula, za spodnicę matkę przytrzymać chciała, wyrywała się Hance, nic nie pomogła. Ocierając łzy fartuchem, wsiadła Maciejowa na wóz i do miasta pojechała, a stamtąd hen daleko w świat.

A Anula z Żółtanem po polach się włóczyła, kwiatki rwała, często nad strumykiem siadłszy rybek wyglądała, a raz po raz Hanki i ojca o matulę pytała. Maciej do pola chodził, doglądać dziecka nie miał czasu, czasem kogo koniem swoim do miasteczka zawiózł a wtedy cały dzień go w domu nie było. W taki to dzień jeden Anula z Żółtanem z łączki do lasu dostać się chciała, więc sta-

nęła na ławce rzuconej wysoko nad rwącym strumykiem. Och, nie byłoż przy niej matki, coby czujnem okiem śledziła każdy krok dziecka, nie byłoż tej matki, której już samo serce powie, że dziecinie śmierć grozi; wiatr dął silnie, pchał lekką postać dziecka, w którego nóżki wplątała się cienka sukieńczyna, pchnął raz i drugi, nóżki zachwiały się i dziecko spadło z wysokości na ostre kamienie. Nie miało nawet czasu krzyknąć tak szybko się to stało. Ostre kamyki zabiły dziecinę, a kryształowa woda strumyka zmywała świeże rany na złotowłosej główce. A wiatr wył przeraźliwie, wtórując Żółtanowi, który w wodę za dzieckiem skoczył, ale nic mu poradzić nie mógł. Nie mógł poradzić lament ojca, rąk łamanie Maciejowej, którą nawet z Prus sprowadzić nie można było, bo jej niemiecki dziedzic puścić nie chciał przed kontraktem — mogiłkę usypał ojciec i obce kobiety... nie matka rzuciła grudkę na twoją trumienkę biedna Anulko, bo matka zamiast z polskiej pszeniczki złoto zbierać, zamiast z rodzinnej ziemi srebro gromadzić z żyta, poszła w świat szukać grosza... I nie młody królewicz z zaczarowanej krainy przyszedł po ciebie Anulo, nie jasny książę z kryształowego pałacu, ale biały anioł o srebrzystych skrzydłach podjął z twardej ziemi, w szatę swoją świętą owinął, utulił, upieścił i przed tron Najwyższego, między aniołki uniósł. *Iri.*

Szkodliwość trunków dla dzieci.

Trunki gorące nie jednego doprowadziły już do zguby. Nic to dziwnego, bo w każdym z nich jest ostra trucizna, zwana alkoholem. Alkohol wchodzi w skład wódki, piwa, wina, miodu, rumu. Mniej czy więcej, ale pijąc którykolwiek z trunków, wypijamy truciznę. Szkodliwemi są przeto trunki nie tylko wtedy, gdy użyjemy ich nadmiernie aż do utraty przytomności i choroby, ale również w każdej ilości. Jakże tedy można stale, codziennie zatruwać się, szkodzić swojemu zdrowiu, odejmować sobie rozum i zdolność do pracy. A jednak ludzie to czynią.

Jeszcze bardziej, niż ludziom dorosłym, szkodzi alkohol, to jest wszelkie mocne, gorące napoje, dzieciom. Paromiesięczne dziecko, któremu zrobili na brzuszek okład ze spirytusu, dostało konwulsyi z samego zapachu. Zauważono w szkole, że dzieci, którym rodzice dawali wódkę, a nawet piwo, mniej były uważne i zdolne od innych. Czteroletnie dziecko, któremu rodzice stale dawali wódkę, dostało gorączki.

Dzieci rodziców nałogowych, które mając zły przykład w domu, wcześnie dobierają się do kieliszka i szklanki, wychodzą na idyotów, t. zw. głupich. A ileż to dziewcząt idzie na złe drogi pod wpływem wódki, ilu chłopców zamiast na ludzi porządnych, wyrasta na złodziei i włóczęgów, bo z domu wynieśli najgorszy przykład i zwyczaj picia.

Dla delikatnego organizmu dziecka trunki gorące stają się często wprost zabójcze, a młodocianą duszyczkę zatruć mogą. Z tego powodu rozsądne matki, jak od ognia bronić powinny dzieci swoje od trunków gorących. Zwyczaj maczania smoczków, a choćby palca w wódce i wtykania go w usta dziecka, jest bardzo szkodliwy. Tem bardziej złem będzie dawać dziecku wódkę, piwo, czy herbatę z rumem, ażeby go nie pokrzywdzić, gdy piją starsi. Nie myślcie, ażeby lekarstwem na choroby dziecinne była wódka czy piwo; one ani nie rozgrzewają, ani posiłku nie dają. Gdy lekarz przepisze używanie wina w gorączce, to co innego, bo w chorobie używamy za lekarstwo różnych trucizn, których zdrowy człowiek unika. Rozsądny lekarz jak najmniej środków takich przepisywać się stara, ale czasem są potrzebne.

Rodzice sami zaś powinni pilnować, ażeby dziecko wprost nie dotykało alkoholu. To też nie posełajcie dziecka do szynku po wódkę lub piwo, bo tam widzi najgorsze przykłady i przyzwyczaja się do trunków. Nie dawajcie mu trunków, choć sami pijecie, to nie żadna krzywda, ale przysługa na całe życie. Najskuteczniej zaś ochronią dziecko swoje przed trunkami rodzice, którzy sami nic nie piją, a pieniądze wydają na zdrowe jadło, książki i pisma.

O zjednoczeniu Włoch.

W dziejach XIX. stulecia odnajdujemy cały szereg wypadków, które nasz nieszczęśliwy naród polski napełnić mogą otuchą, wlać weń nadzieję lepszej przyszłości. Uci-

śnione ludy zdobywały sobie wolność, gnębione od wieków narodowości zrzucały obce jarzmo, by same stanowić o swoich losach.

Ciekawą, pełną bohaterskich czynów, wielkich poświęceń jest historya wyzwolenia i zjednoczenia ludów zamieszkujących półwysep włoski. Piękny ten kraj południowy, otoczony pasmem gór alpejskich, oblany wodami morza Śródziemnego, przez szereg wieków ulegał cudzemu jarzmu, znosił obce, przemocą narzucone mu rządy. Kolejno Hiszpanie, Francuzi, Austryacy panowali na włoskim półwyspie, przewadze ich poddawali się władcy drobnych państewek, na które kraj cały był podzielony. Dopiero w wieku XIX. pod wpływem rozbrzmiewających w całej Europie haseł wolności i we Włoszech budzić się poczynał opór przeciwko istniejącym stosunkom, organizowały się tajne związki i towarzystwa dla oswobodzenia ojczyzny. Zadanie to trudne było do urzeczywistnienia, patryoci włoscy długo i krwawo walczyli o swoją wolność. Przeciwko nim występowała Austrya, potężne, despotyczne państwo, pragnące nadal wpływ swój utrzymać na półwyspie, występowali drobni książęta w obawie o trony swoje, o władzę dotąd niczem nieograniczoną, występował wreszcie papież.

Przed 11 wiekami powstało w środkowej części Włoch państwo kościelne pod władzą papieży, starożytne, sławne miasto Rzym było jego stolicą, zjednoczenie kraju groziło mu zagładą, stąd walka, stąd niechęć obozu katolickiego do narodowych dążeń patryotów włoskich.

Kilkakrotne powstania w 1820, 1830 i 1850 roku stłumione zostały przez wojska austryackie, po każdej nieudanej walce sroższe jeszcze prześladowanie dotykało nieszczęśliwy naród, zwycięzcy mścili się nad nim bezlitośnie, więzienia przepełnione były powstańcami, wielu z nich skazywano na śmierć, wielu chroniło się za granicę, gryzła ich tam tęsknota, żal za utraconą ojczyzną. Włosi jednak nie upadali na duchu, ucisk budził w nich żądzę odwetu, narodowego ducha podtrzymywała współczesna literatura, poeci i pisarze boleli w utworach swoich nad cierpieniami narodu, pieśnią budzili do czynu, nawoływali rodaków swoich do pracy, do walki: „Co za olbrzymie siły — pisze jeden z nich — posiada 20-milionowy naród, jeżeli ma charakter, jeżeli umie działać zgodnie dla osiągnięcia wspólnego celu. Nikt go wtedy pokonać nie zdoła“. Pisma te oddziaływały na społeczeństwo, podtrzymując w niem miłość ojczyzny, wiarę w jej wyzwolenie.

W wielkiem dziele zjednoczenia Włoch najważniejszą rolę odegrało państwo Sardyńskie położone na północy półwyspu. Od 1849 r. panował tam popularny, lubiany powszechnie król Wiktor Emanuel, wstępując na tron zaprzysiągł on konstytucyę, szanował prawa i swobody swoich poddanych. Rządy państwa spoczywały w rękach zdolnego ministra, hrabiego Cavoura, wielki ten patryota życie swe całe poświęcił sprawie publicznej, pracował niezmordowanie dla nieszczęśliwej ojczyzny. Zadaniem Cavoura było naprzód wyswobodzenie Włoch od przewagi Austryi, zniszczenie despotycznych rządów i małych państw, na które dzielił się półwysep, by na ich miejsce zbudować jedno narodowe, konstytucyjne państwo włoskie, pod panowaniem Wiktora Emanuela.

Cavour zręcznie wziął się do dzieła, potrafił zjednać sobie zaufanie i poparcie całego narodu, udzielał schronienia i opieki wszystkim prześladowanym rodakom, pracował nad podniesieniem bogactwa kraju, nad rozwojem rolnictwa, handlu i przemysłu; podatki płacone przez ludność obracał na pomnożenie siły zbrojnej, wyrób broni, wzmocnienie fortec i t. p. Pozyskawszy sobie pomoc potężnego cesarza Francyi, Napoleona III., rozpoczął w 1859 r. wojnę z Austryą o wyswobodzenie półwyspu. Wojna toczyła się na północy, na polach Lombardyi, Austrya została pokonana, poniosła ciężkie, niepowetowane straty. Z klęski tej skorzystali Włosi, w kraju całym szerzył się gwałtownie ruch rewolucyjny, zewsząd wypędzano despotów, ludność dobrowolnie, z ochotą i radością łączyła się z Sardynią, garnęła pod berło narodowego króla, Wiktora Emanuela.

Obok Cavoura, wybitną rolę w dziejach zjednoczenia odegrał Józef Garibaldi, gorący patryota, kochany generał, który wymową swą, swoim zapałem i poświęceniem umiał porywać tłumy, prowadzić je do walki o wolność, o deptane prawa narodów. Na czele garstki ochotników, „tysiąca“ walecznych, Garibaldi dokonywał zdumiewających czynów, zdobył całe południowe królestwo, Neapol i Sycylię, obalił tron despoty, zwyciężał przeważające siły nieprzyjacielskie. Pod jego dowództwem uciśniony od wieków naród zrywał się z zapałem do boju, kruszył krępujące go kajdany. Łączyły się z sobą długo rozdzielone kraje, na gruzach niewoli i despotyzmu odbudowywała się swobodna, niepodległa ojczyzna. Zebrany w 1861 roku pierwszy parlament, w którym zasiadali posłowie wybrani przez społe-

czeństwo, ogłosił uroczyście Wiktora Emanuela królem Włoch „z Bożej łaski i woli narodu“.

Dziełu zjednoczenia najdłużej opierał się papież, Pius IX., nie chciał on zrzec się ziemskiego panowania, nie godził na utratę państwa kościelnego. Upłynęło lat dziewięć zanim Włosi, korzystając ze zbiegu sprzyjających okoliczności, przemocą zajęli Rzym, zanim „wieczne miasto“ ogłosili stolicą zjednoczonego królestwa. Papież nie uznał zaboru posiadłości kościelnych, usunął się do swych pałaców Watykańskich, ogłosił za „więźnia“. Stosunki powyższe trwają aż do dnia dzisiejszego.

Naród włoski po wiekach niewoli i ucisku wywalczył sobie niepodległość, stworzył swój własny rząd, własne, od nikogo niezależne państwo. Dzieje jego wyzwolenia nam właśnie służyć mogą za przykład, wskazywać narodowi naszemu drogę ku lepszej, szczęśliwszej przyszłości.

Helena Witkowska.

Szumi wiosna.

Na wschodzie błyszczą już
Srebrzyste smugi zórz,
Zwiastują jasny dzień,
Powiewów wiosny tchnień,
Ze wszystkich świata stron,
Wiosenny bije ton —
Przerywa ciężkie sny,
Przetapia mroczne mgły.
W okienka wiejskich chat,
Zagląda wiosny świat,
I bije w głośny dzwon,
Dla matki zimy zgon.
Od łąk i zbożnych niw,
Płynie skarb cudów, dziw,
Wiosenka echem szumi,
W piersiach westchnienia tłumi.

W. Zawada.

Do skowronka.

Skowroneczek hej tam w górze,
Na błękitnej zawisł chmurze,
I pochwałę wiosny śpiewa,
Po niwach się śpiew rozlewa.
Hej skowronku, szare ptasze,
Ty znasz wszystkie troski nasze,
Wypogadzasz nasze czoła,
Gdy do pracy budzisz sioła.
Twoim śpiewem siewca krzepi
Swoje siły coraz lepiej,
Gdy piosenka twa zadzwoni,
Wesół bierze pług do dłoni.
Gdy zaśpiewasz, nikną troski,
Szczęście spływa w polskie wioski,
A gdy brzęknie kosa krzywa,
Przyjdą dla nas plonów żniwa.

W. Zawada.

Wieści ze świata.

Ciężki zawód.

Komitet ministrów w Petersburgu obradując nad przywróceniem języka polskiego w szkołach wszystkich miast Królestwa Polskiego, zawiódł nasze oczekiwanie. Uznano za pożądane rozszerzenie języka polskiego w szkołach niższych, naukę rachunków także w polskim języku, ale i powiększenie ilości godzin języka rosyjskiego.

W średnich zakładach szkolnych wszystkie przedmioty nadal wykładać będą po rosyjsku, zachowując jednak wprowadzony przez księcia Imertyńskiego wykład języka polskiego i religii po polsku, i rozszerzenie programu wykładu języka polskiego, jako przedmiotu obowiązującego dla uczniów Polaków.

W szkołach prywatnych możebne jest dopuszczenie całkowitego wykładu w języku polskim, jednak ukończenie takich zakładów nie daje praw, to znaczy, iż nie można starać się o żaden urząd państwowy.

W zakładach szkolnych wyższych pozostawiono język rosyjski jako panujący; potrzeba jednak polepszyć warunki rozwoju katedry języka polskiego.

W czynnościach Towarzystw prywatnych dopuścić swobodne użycie języka polskiego, jednak w aktach podlegających rewizyi, należy mieć odpowiedni tekst rosyjski.

Niewiele to wprawdzie, ale i tak dużo znaczy dla tej dziatwy polskiej, że w swym ojczystym języku choć kilka przedmiotów uczyć się będzie mogła, a cieszyć ją będzie tem więcej, że sama go sobie wywalczyła.



MATKA BOSKA Z PASTUSZKIEM

J. Scheurenberga.

Z Łodzi.

W Łodzi panują ciągłe rozruchy, nie tak gwałtowne. jak w początkach rewolucyi, ale co parę dni słyszeć się dają.

Przed niedawnym czasem zrobiono zamach na komisarza cyrkułu Szatałowicza, który się udał o tyle, że go śmiertelnie ranili, wskutek czego umarł. Pogrzeb Szatałowicza odbył się w największej tajemnicy, a uczestniczyło w nim zaledwie kilku urzędników policyjnych niższej rangi, bo koledzy zmarłego, to jest urzędnicy wyższej rangi, uważali za stosowne nie pokazywać się światu. Nie był też i policmajster Chrzanowski, bo od kilku tygodni wcale nie wychodzi z domu, uważając się bardziej bezpiecznym pośród czterech ścian dobrze strzeżonego mieszkania.

Komisarz czwartego cyrkułu Gojżewski, po dokonaniu na niego nieszkodliwego zamachu, udaje chorego i z domu nie wychodzi, a nawet w tych dniach podał się o dymisyę.

Naczelnik tajnej policyi Kowalik uciekł za granicę, pozorując swój wyjazd pilnemi studyami. Komisarz pierwszego cyrkułu Patkowski, który równie jak wszyscy komisarze policyjni dostał od rewolucyonistów wyrok śmierci, wpadł w stan takiego zdenerwowania, że wyjeżdża na wieś do dóbr swoich w głąb kraju. I tak wszyscy wyżsi urzędnicy policyjni opuszczają swoje urzęda, bo wolą ratować własne życie, niż zyskując ordery, narażać się na niechybną śmierć. W tych dniach strzały rewolwerowe znów się powtórzyły na niższych urzędników policyjnych, jeden z nich dostał ciężką ranę pod sercem, sprawcę ujęto, jest nim 19-letni żydek. Pastwiono się nad nim w cyrkule, ale nic zeznać niechce.

Z Petersburga.

Prywatny telegram z Petersburga donosi, że warszawski generał-gubernator Maksymowicz, który pojechał do Petersburga na sesyę, żądał o wiele więcej ulg dla Królestwa Polskiego, a szczególnie co do języka polskiego w szkołach. A że nie chciano żądań jego uwzględnić, przeto uważa położenie swoje w stosunku do mieszkańców Królestwa Polskiego bez wyjścia i nie widzi innego środka, jak podać się do dymisyi. W tym też celu miał udać się do Carskiego Sioła, ażeby osobiście oddać dymisyę carowi, której jednak car miał nie przyjąć, natomiast oświadczył, że kwestyi polskiej nie uważa jeszcze za ukończoną, a opinii ministrów za ostateczne rozstrzygnięcie w tej mierze. To uczyni rada ministrów, a w razie ważniejszym pod przewodnictwem samego cara. Jeżeli wiadomość ta jest rzeczywiście prawdziwą, to nieszczęśliwi mieszkańcy Królestwa Polskiego może trochę ulg jakich się doczekają.

Ofiary wojny.

Według dokładnych obliczeń dotychczas w obecnej wojnie zginęło 40.000 Polaków. I za co tyle niewinnej krwi się przelało? czy my choćby najmniejszą korzyść mieć z tego będziemy? nie, zginęli przez chciwość i pychę naszego wroga. I nie wiadomo, ile jeszcze nowych ofiar ta wojna pociągnie za sobą, bo car nie oblicza ilości krwi przelanej, nie chce wiedzieć, a może i rzeczywiście nie wie, że skarb państwa jest pusty; że dotychczasowa wojna kosztowała już 1 miliard, że Rosya ma długu $7^1/_2$ miliarda rubli, więc o nową pożyczkę będzie trudno. A o nowo nałożonych podatkach chyba już mowy być nie może, bo przyprowadziłoby to włościan rosyjskich do ostatniej nędzy, gdyż i teraz są przeciążeni podatkami, które w ostatnich latach ogromnie poszły w górę. Obliczono na sesyi ziemstwa w Petersburgu, że podatek od głowy wynosi 9 rubli, jeżeli rodzina wieśniaka składa się z kilkorga dzieci, czyż on jest w stanie zapłacić od każdego po 9 rubli? Taki jest stan włościan pod panowaniem rosyjskiem.

Duchowieństwo prawosławne przeciwko carowi.

Rosyanie jako schyzmatycy nie uznają ojca świętego za głowę kościoła, ale swego cara. Tak było przez parę wieków, bo tak im nakazano. Aż oto pewien pop, nazwiskiem Cwetków, głosił z ambony, że car nie jest głową cerkwi prawosławnej, więc zato go uwięzili. Jeden z profesorów prawa kanonicznego poparł twierdzenie Cwetkowa tem, że ustawy wydane za Piotra Wielkiego, według których każdorazowy car ma być głową cerkwi, nie zostały uznane za dogmat; przeciwnie głową cerkwi jest jedynie Chrystus. Fakt, że car zatwierdza biskupów prawosławnych, niczego nie dowodzi, bo zatwierdza on także biskupów katolickich, a oni przecież nie uznają go za głowę swojego kościoła. Rząd zamierzał oddać Cwetkowa do domu obłąkanych, gdy zaś ujęli się za nim, osadzono go w więzieniu i trzymano tak długo, aż odwołał swoje twierdzenie.

Napad na deputacyę chłopską.

W Warszawie deputacya z polskich chłopów zebrana przyszła przedstawić się nowemu

generał-gubernatorowi Maksymowiczowi i powitać go, ale w drodze do zamku została napadnięta przez kozaków, zbita nahajkami i zawleczona do więzienia.

Japończycy.

Nie tylko zwycięztwami zwrócili na siebie uwagę Japończycy, ale i temi niezwykłemi zaletami, które podziwiają w nich nawet Rosyanie. Opinia przyjaciół może być miła, ale szacunek nieprzyjaciół wydaje patent na rzeczywistą wartość.

Otóż taki patent wydali Japończykom Rosyanie, gdy jeden z nich powiedział: „Gdyby Rosya znała japońską armię, nie byłoby wojny“. Taki więc naród nie tylko zasługuje, żeby mu się przypatrzyć, ale i uczyć się od niego trzeba.

Najgłębszą cechą duszy Japończyka, jest wielkie poczucie godności osobistej. Dawny szlachcic japoński, samuraj, obrażony przez kogo, choćby potrąceniem w szablę, zabijał obrażającego, albo siebie. Niezbyt dawno, pewien robotnik japoński posądzony o kradzież, wpadł w taką wściekłość, że uciął sobie język, wbił w brzuch sztylet, a potem wskoczył w morze i rozumie się, że utonął.

Podporą tej godności, jest odwaga, której Japończycy tyle składają dowodów w obecnej wojnie. W pogardzeniu śmiercią, żaden naród nie przewyższył Japończyków, i to stanowi ich siłę. Człowiek, który potrafi bez wahania umrzeć dla jakiejś idei, jest stanowczo wyższym od innych ludzi.

Zewnętrzną cechą poszanowania siebie, jest u Japończyków nadzwyczajna czystość, która należy do potrzeb narodowych, a objawia się tem, że każdy Japończyk kąpie się codzień w gorącej wodzie, i codzień używa mydła, szczotki i szczoteczki do zębów itd.

Ponieważ Japonia składa się z wielu wysp górzystych, więc mieszkańcy ich łączą w sobie przymioty górali i żeglarzy, są silni i bardzo zręczni. Lubią dużo chodzić i bez zmęczenia potrafią przejść 60 kilom. na dobę.

Drugą olbrzymią zaletą Japończyków jest panowanie nad sobą. Człowiek, który nie potrafiłby zapanować nad swoim żalem, gniewem, lub radością, jest uważany w Japonii za barbarzyńcę. Tam każdy zawsze uśmiecha się, syty czy głodny, chory czy zdrowy, wesoły czy smutny; nawet matka przyjmuje z uśmiechem wiadomość o śmierci syna, chociaż bez świadków tak samo płacze i rozpacza, jak nasze matki.

Dzięki panowaniu nad sobą, od japońskiego jeńca, jak mówią oficerowie rosyjscy, nic się dowiedzieć nie można. Nie pomogą ani prośby, ani grożenie śmiercią, ani wódka, tajemnicy nie zdradzi, chociażby go torturowano. — Równie piękne są ich społeczne zalety. Japoński patryotyzm nie polega na nienawiści obcych, ale na miłości do wszystkiego, co swoje. Kiedy dla dobra armii potrzeba, aby kilku ludzi poświęciło się na niezawodną śmierć, zgłasza się nie kilku, ale kilka tysięcy ochotników. Japończyk tak kocha swoją rzeczywiście piękną ojczyznę, że gdy ją musi na jakiś czas opuścić, zabiera z sobą doniczkę z roślinami, albo kamyk jaki lub garść ziemi.

Trzecia zaleta jest tolerancya narodowo-religijna, której w szkołach uczą. „Czcijcie religię przodków i gorąco kochajcie rodaków; ale nie uważajcie za wroga człowieka dlatego, że jest chrześcijaninem. Nie lękajcie się cudzoziemców, gdyż wszyscy ludzie są braćmi i siostrami. Strzeżcie się pogardzać człowiekiem dlatego, że jest obcy. Ludzi sądźcie nie z ich narodowości, lecz z ich czynów“. Taka jest etyka ludu pogańskiego żółtej rasy.

Grzeczność u Japończyków jest zadziwiająca, nie tylko między państwem, ale i między sługami, robotnikami, tragarzami; tam nie znają żadnych wymyślań, żadnych przekleństw, a gdy chce jeden drugiego znieważyć, to mu powie „ty krowo“. — Przemysł, handel, oświata, rosną w Japonii z zadziwiającą szybkością, a lud, trzeźwy, pracowity, sumienny.

„Przyszłość dla Ludu“.

Z dniem 1 stycznia b. r. zaczęło wychodzić w Krakowie nowe pismo dla ludu, pod tytułem *Przyszłość dla Ludu*, które ma na celu zwalczyć alkoholizm.

Już od paru lat powstały w różnych miejscowościach kraju naszego towarzystwa wstrzemięźliwości, czyli „Eleuterye“, których członkowie nie tylko, iż sami nie używają żadnych trunków, ale i innych starają się od nich powstrzymać. Pisemko *Przyszłość dla Ludu* wyszło z łona Eleuteryi krakowskiej, z niego dowiedzieć się możemy, ile złego nie tylko na pojedyńcze rodziny, ale na cały kraj, sprowadza używanie alkoholu; bo nie tylko że setki rodzin ubożeją, topiąc całe swe mienie w kieliszku, ale i młodsze pokolenie staje się zwyrodniałe, niezdrowe, mające umysł

przytępiony, i dlatego też postęp u nas tak pomału się rozwija.

Przyszłość dla Ludu wychodzi raz na miesiąc, a kosztuje rocznie 1 koronę, zaś dla prenumeratorów *Przodownicy* 80 hal. Adres Administracyi: Dr. Augustyn Wróblewski, Kraków, Sławkowska 24. *Przyszłość dla Ludu* polecamy gorąco wszystkim, którzy dbają o dobro Ojczyzny naszej, bo pewno nie jednego zachęci do wstrzemięźliwości, bo pamiętajmy o tem, że tylko w zdrowem i trzeźwem ciele, może być zdrowa i silna dusza.

Dział gospodarczy.

Z czego może mieć dochód gospodyni wiejska.

Gospodyni wiejska może mieć dochód nawet z najdrobniejszej rzeczy, tylko musi umieć ją wyzyskać. Tu na pierwszem miejscu postawimy krowę. Krówka, ta żywicielka nasza, o ile ona jest dobrą i odpowiednio żywioną, to powinna dać przeciętnie 2 litry mleka na jeden udój; mamy tu na myśli obliczenie roczne, bo przecież każda gospodyni o tem wie, że krowa zaraz po ocieleniu daje więcej, a potem coraz mniej, aż w końcu przed powtórnem ocieleniem przestaje się zupełnie doić. Wpływa na to i wiek krowy i tak przy odpowiedniem dobrem żywieniu dają przeciętnie mleka dziennie:

Po	1	ocieleniu	2— 3	roku	12—16	litrów
„	2	„	3— 4	„	16—18	„
„	3	„	4— 5	„	18—20	„
„	4	„	5— 6	„	20—22	„
„	5	„	6— 7	„	22—25	„
„	6	„	7— 8	„	25—23	„
„	7	„	8— 9	„	23—19	„
„	8	„	9—10	„	19—17	„
„	9	„	10—11	„	17—15	„
„	10	„	11—12	„	15—12	„
„	11	„	12—13	„	12—10	„
„	12	„	13—14	„	10— 8	„
„	13	„	14—15	„	8— 6	„
„	14	„	15—16	„	6— 4	„

Podług tego obliczenia można widzieć, w jakim wieku krowy najlepiej opłacają podaną im karmę. Powiedzmy, że od krowy mamy mleko; należy się tu obliczyć, co się lepiej opłaci, sprzedawać mleko, czy przerabiać je na masło i sery. Otóż to, przyczem mniej jest roboty, opłaca się lepiej, można to jednak zastosować tylko pod większem miastem, gdzie każdy litr mleka ma dobrą cenę. Kto zaś mieszka dalej od miasta, temu się lepiej opłaci mleko przerabiać, bo łatwiej jest zapakować ser lub masło i wywieść je o kilka mil do miasta, aniżeli mleko.

Dalej mamy od krowy przychówek; i tu trzeba się dobrze obliczyć, czy lepiej wyjdziemy, gdy będziemy chować cielęta na krowy mleczne, a tylko buhajki na mięso, czy też wogóle lepiej nam zapłacą cielęta mięsne. Anglicy chowają wyłącznie cielęta na mięso i doprowadzili bydło do ogromnych rozmiarów. Jest to bydło wielkie, mięso ma grube, a kości cienkie i słabe. U nas jednak tuczne cielęta ceny prawie nie mają, ale że do rozpłodu nie każdy buhajek się nadaje, a nie każda cieliczka wygląda nam na to, aby ona w przyszłości miała być dobrą i mleczną krówką, nie wszystkie też cielęta możemy chować, więc powinniśmy wybierać te, które są rzeczywiście ładne i od krów mlecznych odstawionych również dobrym i pewnym buhajem i te cieliczki od pierwszych dni już karmić tak, aby z nich kiedyś dobre krowy były, byczki zaś karmić posilnie i odpowiednio ich przeznaczeniu. Wszystkie zaś inne cielęta, nie nadające się nam do chowu, podkarmić i sprzedać, powiadam podkarmić, bo chudego cielęcia nikt nie kupi, a jeżeli kupi, niewiele za niego da.

Pozostaje nam jeszcze nawóz. Dobry nawóz jest połową mienia gospodarskiego, u nas niestety mało kto obchodzi się z nawozem tak, jakby tego potrzeba było, obchodzimy się z nim po macoszemu, a to tylko dlatego, że za mało znamy wartość nawozu. Nam wszystko jedno, czy ten nawóz jest tłusty, czy też sucha tylko spalona, zwietrzała słoma; chodzi nam tylko o to, aby się w pole wywiozło, mniejsza już o to, co wywieziemy.

Pielęgnowanie indycząt.

Indyczęta wymagają największej troskliwości z wszystkich ptaków domowych. Izba, czy też kurnik, w którym się indyczęta mają wychowywać, musi być sucha i ciepła, stała ciepłota powinna wynosić, jeżeli zostawiamy kwokę przy nich, 13° R., jeżeli zaś indyczęta są bez kwoki, natenczas musi być 18° R. Zaraz po wykłuciu z jajka trzeba małe indyczęta zanurzyć w garnku w zimnej wodzie, zanurza się je trzy razy raz po razu, ale tylko

po sekundzie, to znaczy, prędko zanurzyć i wyjąć. Po zanurzeniu daje się zaraz napowrót pod matkę, aby się ogrzały i wyschły, im lepiej się pod matką wygrzeją, tem dla nich lepiej. W środku takiego kurnika powinny się znajdować płytkie korytka na mleko i wodę, i czyste, oheblowane deseczki na karmę, które po każdorazowem użyciu należy czysto obmyć, aby karma nie kisła. Podłoga powinna być zawsze sucha i wysypana piaskiem. Głównym warunkiem dobrego powodzenia i zdrowia indycząt jest czystość w kurniku, czysta świeża woda, nie skisłe mleko i karma, no i trzeba je chronić tak przed wilgocią jak i przed skwarem słonecznym. Dobrze jest, jeżeli się indyczęta wraz z kwoką wypuszcza na podwórze, ale dopiero po obeschnięciu rosy, trzeba je jednak mieć na oku i w czasie spieki południowej zapędzić do stajenki lub gdzie do chłodu. Z początku wypuszcza się je tylko na krótki czas, potem mogą już zostawać dłużej, a będą sobie wyszukiwały muszki, robaczków, będą skubały młode roślinki, nasionka i tym sposobem przyzwyczają się do wyszukiwania sobie pożywienia. Starsze indyczęta można wyganiać naturalnie zawsze pod dozorem pastucha i po obeschnięciu rosy, na pastwisko, do lasu lub na ściernie, trzeba się jednak o to starać, aby im tam wody nie brakowało i aby miały schronienie w czasie południowego skwaru. Małe indyczęta żywią się na pastwisku robaczkami i muszkami, a gdy już dostatecznie podrosną, zjadają ślimaki, żaby, węże, myszy i t. p. Na pastwiskach, gdzie się bydło pasie, mogą się i indyki paść zupełnie bez szkody dla bydła, bo indyki mało co roślin spożywają, a tylko płazy i robaki, odchody ich u bydła żadnej odrazy nie sprawiają, a pastwiska użyźniają. Podczas słoty lepiej jest małe indyczęta wcale nie wyganiać, dla starszych zaś powinno być schronienie, aby chociaż chwilami mogły wypocząć pod dachem. No tak, ale chcąc je wyganiać na pastwisko, trzeba je najpierw odchować, a to jest właśnie najtrudniejsza rzecz.

Otóż małe indyczęta, jak tylko się z jaja wyklują, trzeba trzy razy w zimnej wodzie zanurzać, każdy raz po sekundzie, t. j. prędko zanurzać i zaraz wyjąć, po zanurzaniu włożyć pisklę pod kwokę, aby się ogrzało i obeschło. W pierwszych dwóch dniach najlepszą karmą dla indycząt jest: 5 części twardo gotowanego i drobno posiekanego jaja i 1 część młodej drobno siekanej pokrzywy. Następne trzy dni można dawać krupy owsiane na mleku gotowane, siekane jajo i $^1/_4$ część siekanej pokrzywy, następnych dni jaja dodawać już nie potrzeba, tylko krupy owsiane gotowane na mleku lub wodzie i siekaną pokrzywę. Krup nie należy nigdy więcej gotować jak tylko tyle, aby od rana do wieczora wystarczyły, a jeszcze lepiej jest gotować świeże do każdego karmienia. Najwięcej pielęgnacyi wymagają indyczęta w trzecim miesiącu, to jest w czasie, kiedy dostają korale, wtedy trzeba je lepiej, pożywniej karmić, robakami, odpadkami mięsa, poddawać im mleko słodkie do picia i szczególnie chronić od wilgoci i upałów. Bardzo dobrem jest, jeżeli się indyczętom częściej trochę świeżego sera do karmy doda.

ROZMAITOŚCI.

Pierwszy maja w Warszawie. Dzień prawdziwie majowy, pogodny, słoneczny, jakby zamówiony na uroczystość manifestacyjną. Miasto od samego rana wyglądało świątecznie, sklepy i kawiarnie pozamykane, nawet ruch konny ustał, bo i dorożkaże świętują.

Między robotników rzucono rozkaz dzienny, aby po godzinie 12-tej w południe zbierali się w różnych punktach miasta, w najważniejszych punktach swej dzielnicy. Wszystkie zastępy miały zdążać na linię zborną Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje ujazdowskie, i na przestrzeni paru kilometrów od Zamku łazienek spacerować aż do wieczora, śpiewając pieśni patryotyczne i socyalistyczne. Około godziny 2-giej wyruszył pochód z czerwonymi sztandarami, śpiewając „Warszawiankę“ i „Czerwony sztandar“ przez ulicę Marszałkowską, zdążając ku Nowemu Światowi. W Alejach Jerozolimskich spotkano kordon policyjny i nieco dalej oddział wojska, którzy niechcieli tłumu wpuścić na Nowy Świat. Parotysięczny tłum przerwał kordon i parł naprzód, okładając pięściami policyantów, którzy znaleźli się w pośrodku. Wówczas wojsko dało trzy salwy jedne po drugiej, przyczem zginęło 36 robotników, a kilkudziesięciu jest rannych.

Około godziny 4 tej przyszło znów do starcia z wojskiem na ulicy Złotej, gdzie 4 robotników padło zabitych i wielu jest rannych.

O godzinie 10-tej wieczór, w czasie utarczki, rzucono między kozaków bombę, od której zginęło 4 kozaków, a 20 osób różnych jest rannych. Siła wy-

buchu była tak wielka, że oderwany łeb konia przeleciał ponad dwupiętrową kamienicę, a w kilkunastu domach szyby z okien wyleciały.

Na przedmieściu Pradze przyszło także do starcia z kawaleryą, która końmi na ludzi wjeżdżała.

I tak ten piękny zielony maj, przystroił się czerwonym kwieciem niewinnie przelanej krwi, z ofiar carskich siepaczy.

W Łodzi i innych miastach Królestwa Polskiego, robotnicy wszędzie w dniu 1 maja świętowali, ale nie wszędzie spokojnie. W Łodzi na kilku miejscach były utarczki z wojskiem, przyczem nie obeszło się bez ofiar w zabitych i rannych.

Krwawe zajścia w Częstochowie. W dniu 28 kwietnia o godzinie 1 w nocy wojsko otoczyło domy robotnicze hut „Raków“ i policya rozpoczęła rewizyę w mieszkaniach robotników i urzędników. Wskutek tego aresztowano 11 robotników i 2 urzędników. Mimo ścisłego obstawienia domów wojskiem, jeden z robotników przemknął się do fabryki i zawiadomił towarzyszy o tem, co się dzieje. W mgnieniu oka rozległ się przeraźliwy świst syreny fabrycznej. Na ten znany sygnał do bezrobocia, w całym ogromnym zakładzie stanęła praca, i wszyscy robotnicy pracujący w nocy spiesznie udali się ku bramie na pomoc aresztowanym towarzyszom. W bramie silny oddział wojska zatrzymał ich, nie pozwalając wyjść: Tłum robotników rzucił się na wojsko, rozbroił sześciu żołnierzy, trzech poranił. Spóźnili się jednak, bo aresztowanych przeprowadzili już do miasta.

Tegoż dnia rano we wszystkich fabrykach stanęła praca, a robotnicy tłumnie podążyli do miasta prosić naczelnika, by uwolnił aresztowanych. Po mieście krążyły szwadrony kawaleryi, mające odstawić więźniów do cytadeli warszawskiej. Przy wejściu do miasta przyszło do zajść krwawych, gdyż wojsko nie chciało wpuścić tam robotników.

Druga flota bałtycka. Eskadra*) Rożestwieńskiego, która dłuższy czas przebywała koło wyspy Hainan, oczekując tam na trzecią eskadrę Niebogatowa, przed kilku dniami już się z nim połączyła, i tak wzmocnionemi siłami płyną razem do Władywostoku. Pomimo, że Rożestwieński uchodzi za bardzo zdolnego marynarza, i pomimo, że flota jego składa się z 46 statków, a połączona z Niebogatowem, dochodzi do pokaźnej cyfry 60 okrętów, widocznem jest, że się obawia admirała Togo, który jakby gdzieś przepadł, tak żadnych wieści o sobie nie daje. Dobrze ukryta potężna eskadra admirała Togo, czycha na nieprzyjaciela, i pewno już wkrótce zadziwi znów świat swą odwagą i walecznością.

Wyzyskiwanie wychodźców polskich z Galicyi. Ks. Zwickert, proboszcz w Rydzynie w Poznańskiem, donosi *Dziennikowi Poznańskiemu:*

„Przybyło dziś do Rydzyny p i e s z o z Poznania p i ę c i u G a l i c y a n, wynędzniałych i zmizerowanych, którzy padli ofiarą wyzysku niegodziwych agentów. Jeden z tych szakali, zabrawszy ofiarom swoim książki robotnicze i papiery legitymacyjne, dowiózł ich do Poznania i tam puścił na Opatrzność Boską. Dwa dni czekali na dworcu na jego przybycie, nie widząc jednak innego sposobu, puścili się z powrotem do ojczyzny p i e s z o bez grosza. Dałem im na podróż do Wrocławia tyle, aby się mogli nieco posilić i wręczyłem list polecający do znanej mi osoby w Wrocławiu, aby się dalszym ich losem zajęła. Mam nadzieję, że z pomocą policyi w Wrocławiu odnajdą złoczyńcę. — Nazwiska tych ofiar nowoczesnego niewolnictwa brzmią: 1) Marcin P i e r z a w s k i z żoną Anną z Dębicy w Galicyi; 2) Stanisław S z c z e p k a z żoną Agatą z Gumniska pod Dębicą w Galicyi; 3) Józef S z p a r a z Szkody p Ropczyce w Galicyi“.

Tego rodzaju wyzyskiwaniu i krzywdzeniu robotników galicyjskich zapobiedzby mogło w niemałej mierze utworzenie k o n s u l a t ó w a u s t r y a c k o-w ę g i e r s k i c h w P o z n a n i u lub w T o r u n i u. Obecnie poszkodowani zdani są na łaskę losu lub na przypadkową pomoc ludzi miłosiernych. Niestety, sprawa pomnożenia konsulatów austryacko-węgierskich w Prusiech ucichła znów zupełnie.

Akcya włościan dla polskich ofiar wojny. Na zaproszenie p. Franciszka Wójcika z Wyciąż odbyło się dnia 21 b. m. w sali Rady powiatowej w Krakowie poufne zebranie włościan z powiatu krakowskiego i okolicznych, w celu zawiązania komitetu włościańskiego dla zbierania składek na podupadłych z powodu wojny Polaków w Królestwie Polskiem. Zebrało się kilkudziesięciu gospodarzy, którzy uchwalili zawiązanie komitetu, do którego z każdej parafii należeć będzie jeden lub dwu członków; komitet ten wyda odezwy do ludności włościańskiej o nadsyłanie składek na ręce przewodniczącego komitetu p. Wójcika w Wyciążu, ost. p. Cło.

Trzęsienie ziemi. W Heidelbergu dało się czuć o godzinie 2 min. 49 rano, według doniesienia *Heidelberger Tageblattu* silne trzęsienie ziemi.

Berno Szwajcarskie. W zachodniej połowie kantonu Lucerny, oraz w Kantonach Neuenburg i Wallis odczuto krótko przed godziną 3 rano silne trzęsienie ziemi. Najsilniej wystąpiło trzęsienie w kantonie Wallis, gdzie kilka domów odniosło uszkodzenia.

Odezwa Unitów. Warszawski korespondent *Naprzodu* donosi:

Mam w ręku odezwę, podpisaną przez „Towarzystwo opieki nad Unitami“. Odezwa ta, odbita, o ile sądzić można z jej wyglądu, w tajnej drukarni lub potajemnie w jakiejś drukarni legalnej, rozpoczyna się od słów: „Niech będzie pochwalony Jezus

*) Wojenna flota

Chrystus! Bracia Unici!“ Końcowy zaś jej ustęp brzmi: „Dlatego wzywamy wszystkich, aby już od dziś nikt do cerkwi prawosławnej nie chodził; aby wszyscy gromadami powiedzieli popom, że już rzucają schyzmę i idą wszyscy do kościoła katolickiego; nie posyłać dzieci do szkół cerkiewnych i rządowych, bo tam dzieci nasze na prawosławne przerabiają; monaszki ze wsi wypędzać precz; jak czynowniki będą pytać: jakiej kto wiary chce być, wszyscy powinniśmy dobrze dopilnować, aby ich zapisali na katolików, bo jakby kto teraz się nie dopilnował, to jużby nigdy od tego prawosławia się nie odczepił. Amen!“

O wełnicy i korzyści, jaką z niej mieć można. Czego jak czego, ale błot i bagien to u nas niebrak. W samych dziesięciu guberniach bliższych Warszawy zajmują one przeszło 2 miliony morgów. Korzyści z tych błot nie mamy prawie żadnej, bo torfu z nich wydobywamy niezbyt wiele, a pastwiska są liche, kwaśną i ostrą z nich trawę bydło je niechętnie. Ale na tych kwaśnych, wilgotnych łąkach rośnie wszędzie i w bardzo dużej ilości niepozorna roślinka zwana wełnicą.

Poznać ją łatwo po białych puszystych kitach sterczących na wierzchołkach łodyg po 5 lub więcej, aż do 12 razem. Te białe kity składają się z cienkich i miękkich włókienek, wyrastających na każdem ziarnku. Kity lud nazywa kwiatami, ale niesłusznie, bo kwiaty wełnicy są nikłe, drobne, różowe, ten zaś puszek, po którym tak łatwo wełnicę poznać, zjawia się już po okwitnięciu, podczas tworzenia się ziarna, które, gdy dojrzeje, to je wiatr z tym puszkiem łatwo na wszystkie strony rozniesie.

Dotąd wełnicy u nas do niczego nie używano. Bydło ją je niechętnie, bo jest niesmaczna; puchu zaś nikt nie zbiera, bo nie wie, co z nim robić. Ale zdaje mi się, że niezadługo wełnica nabierze wartości, a owe bagna, mokradła, na których tak obficie bez wszelkiej uprawy rośnie, zaczną nareszcie przynosić jakiś, może nawet znaczny dochód. A oto dlaczego:

Jak wszystkim wiadomo, do opatrywania wszelkich skaleczeń, ran, stłuczeń używa się wata apteczna, którą otrzymujemy z rośliny zwanej bawełną. Dotychczas nic było do opatrywania ran nic lepszego nad watę. Ale wata jest droga: za funt trzeba zapłacić 70 do 80 kopiejek, a w aptece to nawet i więcej. Obecnie z powodu nieurodzaju bawełny wata jeszcze bardziej zdrożała. Ale, co najgorsza, bardzo często, i to wtedy, kiedy jest największa potrzeba, waty na wsi nie można dostać. Zresztą pieniądze, jakie za watę płacimy, idą przeważnie do Ameryki, albo do innych dalekich, obcych krajów, a przecież każdy chyba wolałby, żeby u nas w kraju zostały. Otóż mam nadzieję, że niezadługo już nie będziemy potrzebowali waty do opatrunków dla chorych kupować, bo mamy ją u siebie. Przekonał się o tem uczony doktor czeski Panyrek. Widząc, jaka moc wełnicy rośnie na niezdatnych do uprawy mokradłach i pragnąc narodowi swemu przysporzyć bogactwa, zacny ten lekarz zaczął badać, czyby też nie można puchu wełnicy używać do opatrywania ran.

I oto po wielu próbach w szpitalu w Pradze Czeskiej przekonał się, że nasza wełnica nie tylko nie jest gorsza, ale w wielu razach nawet lepsza jest od waty. Odtąd więc nie będziemy potrzebowali, a nawet i nie powinniśmy kupować waty, bo gdy nastanie lato, każdy może ją sobie sam przygotować, a jak, o tem zaraz opowiem.

Wełnica kwitnie u nas od kwietnia do lipca; w tym więc czasie możemy przysposobić zapas waty nie tylko na własny użytek, ale nawet na sprzedaż. Ponieważ do opatrunku potrzebny jest sam tylko puch, więc zbierać go należy najpóźniej do pierwszych dni czerwca, bo w tym czasie niedojrzałe ziarna siedzą tak mocno, że ich z puchem wyrwać nie można. Najlepiej wszakże puch zestrzygać nożyczkami, bo wtedy już napewno nasionka się doń nie dostaną. Jest to robota tak łatwa i prosta, że nawet dzieci mogą ją wykonywać.

Zebrawszy tyle puchu, ile komu się podoba, należy go w czystej wodzie i w czystym garnku dobrze wygotować, a potem na słońcu lub w lekko ogrzanym piecu wysuszyć i w czysty papier lub płótno zawinąwszy, przechować, aby w razie wypadku mieć czem ranę opatrzyć. A przyda się to w każdej chacie, bo o co, jak o co, ale o skaleczenie bardzo łatwo. Dotąd na rany zwykle kładziono czyste (co prawda nie zawsze czyste) szmaty, albo i co gorszego, a to dla tej prostej przyczyny, że waty aptecznej nie było pod ręką, a niejeden i kupić jej nie miał za co. Jakie wynikają skutki z nieczystego opatrzenia rany, o tem w gazecie nieraz była mowa: rana ropieje, nie goi się, a często nawet może spowodować ogólne zakażenie krwi i śmierć. Od dziś, kiedy każdy może sobie bez pieniędzy zdobyć doskonałą rzecz do opatrunku, powinna ona teraz znajdować się w każdej, nawet najuboższej chacie. Tylko, rozumie się, zawijać ją i przechowywać należy bardzo czysto, nie kłaść na byle czem i nie brać niezupełnie czystemi rękami.

Tu chciałbym jeszcze zachęcić wszystkich gospodarzy, by spróbowali hodować wełnicę. Wcześniej czy później i nasi doktorzy zaczną wełnicy używać do opatrunków, a wtedy dostawcy leków będą jej bardzo poszukiwali, bo z pewnością wynajdą sposób przygotowywania z niej wybornych opatrunków. A wstyd byłby wielki, gdyby i wełnicę, której tyle u nas rośnie, trzeba było skądinąd sprowadzać — i nie tylko wstyd, ale i strata by stąd była niemała.

Tem skwapliwiej zresztą należy brać się do hodowli wełnicy, że czasy dziś mamy ciężkie i tem

więcej cenić trzeba każdy grosz z nieużytków wydobyty. *Doktor F. Gruda.*

Najlepszy nawóz pod ogrodowizny. Nie ulega to już najmniejszej wątpliwości, że najlepszym środkiem użyźniającym pod ogrodowizny jest nawóz płynny, nadający jarzynom smak delikatny i piękny wygląd zewnętrzny. Francuscy ogrodnicy, produkujący najpiękniejsze jarzyny na targi paryskie, używają też przeważnie nawozów płynnych, o czem można się przekonać, zwiedzając zakłady ogrodnicze w okolicach Paryża. Wszędzie tam, obok kadzi rozmieszczonych w różnych punktach ogrodu, napełnionych zwyczajną wodą, znajdują się drugie, wkopane w ziemię, napełnione nawozami płynnymi, starannie nagromadzonymi. Za materyał do przygotowania tego rodzaju nawozów służą: popioły drzewne, pomioty drobiu, królików, gołębi i wszelki gnój, jak niemniej odchody ludzkie, gnojówka, mydliny, sadze, pomyje kuchenne i tym podobne odpadki, które miesza się razem z dodatkiem jakiejś części siarczanu żelaza (koperwasu), który nie tylko wchodzi w skład materyi nawozowych, ale jest zarazem środkiem niszczącym nieprzyjemną woń, jaka się wywiązuje skutkiem gnijących materyi nawozowych. Nagromadzone w kadziach materyały nalewa się następnie do pełna wodą, kilkakrotnie mieszając, i po czterech dniach trwającej fermentacyi, używa się do podlewania. Podlewanie warzywa uskutecznia się w ten sposób, że w pobliżu rośliny robi się dołek, i w ten nawóz płynny wlewa, stosując ilość do wielkości rośliny, rzadko jednak przeznacza się więcej jak pół litra pod każdą roślinę. Doświadczenie bowiem nauczyło, że korzystniej jest podlewać mniejszą ilością naraz a częściej, niż większa raz lub dwa razy. Po każdorazowem podlaniu nawozem płynnym, jeżeli w tym czasie deszcz nie pada, podlewa się obficie wodą. Po wypróżnieniu kadzi z nawozu płynnego, bezzwłocznie wsypuje się świeżo przygotowane materyały nawozowe i w ten sposób ma się zawsze do rozporządzenia nawóz płynny na każde zapotrzebowanie. Kto nie miał sposobności przekonania się naocznie, jak silnie użyźnianie takie wpływa na roślinność, ten nawet wyobrażenia o tem mieć nie może. Zastosowanie przygotowanych w ten sposób nawozów płynnych nie ogranicza się tylko wyłącznie do warzywa, ale również z najlepszym skutkiem pod drzewa owocowe, winorośle, krzewy jagodowe, a nawet pod rośliny doniczkowe, w stanie mniej lub więcej rozcieńczonym wodą. Ogrodnicy i posiadacze ogrodów, którzy raz doświadczyli skuteczności takiego użyźniania, z pewnością nie będą szczędzić starań, aby się raz na zawsze w tego rodzaju środek nawozowy zaopatrzyć. Możemy też takie postępowanie zalecić wszystkim gospodyniom i lubowniczkom ogrodnictwa, a szczególniej starającym się o wyborowe i smaczne warzywa na własną potrzebę lub na sprzedaż. Jest to wreszcie nawóz, który oprócz zbierania na ten użytek materyałów nawozowych, który w każdem znajduje się gospodarstwie, nie pociąga za sobą kosztów, ale przyczynia się raczej do oszczędności gnoju stajennego, który zamiast wywozić do ogrodów, można spożytkować pod uprawę polową.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szczaw solony na zimę. Najłatwiejszy sposób zachowania szczawiu na zimę jest solenie. Duże świeże wybrane i obrane z krzaków liście szczawiowe bez płukania posiekać jak najdrobniej na desce, gdzie były siekane posolić, uważając, aby nie przesolić, trudno tu oznaczyć ilość soli, trzeba już samemu na to zwrócić uwagę. Posolone liście wymieszać starannie i nakładać w czyste i koniecznie suche butelki, zakorkować szczelnie i zalać lakiem, a następnie wstawić do chłodnej ale suchej piwnicy. Jeżeli się bierze do użytku, to przyprawia się tak jak świeży, dusić na maśle, przefasować rosołem i zaprawić śmietaną. Pozostały zaś w butelce szczaw natychmiast zakorkować, zalać lakiem i wynieść do piwnicy.

W ten sam sposób można też zasolić koperek zielony.

Ostre gomółki. Bierze się $^1/_2$ klg sera świeżego solonego, uciera na tarce, wkłada w garnek i stawia w cieplem miejscu na tydzień. Po tygodniu daje się ten ser do rondla, dodaje $^1/_8$ klg świeżego masła i mieszając wciąż na wolnym ogniu, smażyć pół godziny, aż zrzednieje zupełnie, wtedy dodać kminku i wyłożyć na talerz. Gdy wychłódnie, można z niego robić małe gomółki lub też zostawić tak, jak jest.

Odświeżanie wstążek i koronek. Chcąc stare jedwabne lub aksamitne wstążki odświeżyć, należy je zwilżyć rumem lub spirytusem i prasować zaraz, póki wilgotne. Wszelkie wstążki lub kawałki aksamitu należy prasować w powietrzu.

Koronki czarne piorą się dobrze w podkwaśniałem piwie. Piwo powraca im kolor i nadaje pożądaną sztywność. Gdy już czysto uprane, wyciągnąć gładko na czystej pijącej bibule, przykryć drugim arkuszem i prasować miernie gorącem żelazkiem.

Pranie kapeluszy słomkowych. Niejeden kapelusz możnaby jeszcze użyć, a trzeba go już wyrzucić, bo bardzo brudny. Dla tych więc, którzyby chcieli sobie zadać tyle pracy, podamy tutaj łatwy a dobry sposób prania białych kapeluszy. Najpierw trzeba zdjąć całe ubranie i wypruć drucik, jeżeliby takowy był

wszyty, a następnie włożyć kapelusz na odwróconą dnem do wierzchu salaterkę, imbryk bez dzióbka lub garnuszek, wreszcie pudełko drewniane lub coś podobnego i natrzeć cały kapelusz szczotką umaczaną w słabym rozczynie potażu w ciepłej wodzie, pod tem wcieraniem plamy znikną, następnie zostawiamy go na tej salaterce czy pudełku, aby cokolwiek przeschł. Gdy już nieco przeschnie, trzeba dla białości przecierać szybko szczotką miałko przesianą siarką i niech tak doschnie do reszty, gdy już całkiem suchy, wydmuchuje się siarkę, a cały kapelusz naciera się gąbką umaczaną w lekkim roztworze surowego ryżowego krochmalu. Następnie nakrywa się bibułką i prasuje póki wilgotne. Prasować można zwyczajnem żelazkiem, tylko trzeba z niego duszę wyjąć, bo z duszą pali. Kiedy już jest uprasowany, zdjąć z pudełka, wszyć drucik, nadać fason, jaki wypada i ubrać napowrót.

Przy praniu cienkiej bielizny lub koronek zastępuje bardzo dobrze sodę boraks, za granicą ma on wielkie zastosowanie przy praniu bielizny, gdyż nie niszczy i nie żółci on tak bielizny, jak soda. Na 50 litrów wody bierze się $^1/_8$ klg. boraksu; zbiera on lepiej brud niż woda, oszczędza się więc też i mydła, a przytem i paliwa. Do garnka, w którem się rozpuściło boraks i trochę mydła, dolać wody zimnej, włożyć w to, poprzednio już takim samym w ługu z boraksu przepraną bieliznę, postawić na blachę i powoli zagotować, gotować kwadrans, następnie odsłonić i nie wyjmując czekać aż trochę przechłódnie i dopiero wyjąć, drugi raz już nie trzeba tej bielizny gotować, ale tylko po przepraniu dać napowrót w taki sam ług, jak to zrobiliśmy pierwszy raz, nastawić w zimnej wodzie i jak tylko się dobrze zaparzy, t. j. dojdzie prawie że do gotowania, już odstawić i czekać aż przechłódnie, następnie przebrać, płukać, farbkować itd.

Motylica u drobiu. Napada ona przeważnie gęsi, rzadko kiedy kaczki. Ptak chorobą tą dotknięty charczy, a w odchodach dają się widzieć małe robaczki. Zaraz w początku tej choroby dobrze jest dać parę kropel terpentyny zmieszanej z wodą lub odwaru z cytworowego nasienia i piołunu z dodaniem kilku kropel kamfiny, trzeba to jednak ptakowi wlać do dzióba; żer ma być moczony w ludzkiej urynie. Do żeru powinno się gęsiom zawsze dodawać nieco sproszkowanego węgla drzewnego i uważać, aby nie piły gnojówki i by nie były w styczności z owcami zamotyliczonemi.

Wartak. Choroba ta napada tak gęsi, jak i kaczki. Ptak tą chorobą dotknięty, kręci się wokoło i zwykle zdycha. Należy więc, jak tylko się spostrzeże, zaraz lekko przeciąć żyłę pod błoną czyli pływkę u nóg i upuścić trochę krwi, jednak i ten środek nie zawsze się skutecznym okazał, a ptak raz tą chorobą napadnięty, już nigdy całkiem zdrowym nie będzie. Lepiej więc jest wystrzegać się tej choroby i chronić młode kaczki i gęsi od gorąca.

Biegunka u cieląt jest często utrapieniem gospodyni, dlatego też jak tylko się spostrzeże, że cielę ma czyszczenie, a cielę to jest już odłączone od matki, zgotować nie bardzo rzadkie pójło z podpalonej mąki jęczmiennej i dawać mu pić przynajmniej trzy lub cztery razy na dzień, przestrzegając jednak przeładowania żołądka.

Jeżeli zaś cielę jest jeszcze przy matce i sie, to dobrze jest surowe jajo zgnieść w pyszczku cielęcia i wsunąć je wraz z pognieciona łupiną w gardziołkę tak, aby cielę zmuszone było połknąć, można także wlać w pyszczek cielęciu pół małego kieliszka rumu.

Często przy biegunce okazuje się i gorączka; taka biegunka jest niebezpieczną. Wtedy trzeba ugotować odwaru siemienia lnianego tyle, aby czystego silnego odwaru było pół litra, do ciepłego odwaru dodać kieliszek oleju siemiennego i tą ilością zalewa się krowę co pół godziny. Nogi i brzuch chorej krowy trzeba dobrze natrzyć terpentyną z olejem siemiennym i wycierać do ciepłego wiechciami słomy, potem nakryć krowę ciepłym starym kocem lub kożuchem.

Pocenie się pod pachami. Przy nadchodzącej porze nie będzie może od rzeczy wspomnieć i o tem. Otóż, aby zapobiedz przykremu poceniu się pod pachami, które to tyle sukien niszczy, dobrze jest myć je dwa razy dziennie wodą i mydłem, a następnie nacierać zwyczajnym, ale dobrym spirytusem.

Od Redakcyi.

Tyle nadesłano nam żądań i pytań — iż chcąc zadowolnić Was Sz. Czytelniczki i Czytelnicy i wszystko to zamieścić, czego życzyliście sobie i odpowiedzieć na wszystkie pytania — musiałyśmy numer ten znacznie powiększyć, co już przyczyniło nam dużo bardzo kosztów. Wybaczcie więc, że z tego powodu obrazka nie dołączamy. W następnym — będzie pierwszy obrazek z cyklu Grottgera: „Polonia".

Administracya zwraca się do wszystkich życzliwych *Przodownicy* o jednanie jej jak najwięcej prenumeratorów i prenumeratorek.

Reklamacyi nie należy opłacać.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

ŚWIĘTA KINGA

Powieść historyczna z XIII-go wieku.

Napisała

Mieczysława Śleczkowska.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz stoczono krwawą bitwę. O świtaniu oba wojska były gotowe do krwawej walki. Wojska polskie wystąpiły w zwartych szeregach, mając na czele wojewodów i kasztelanów. Całkiem inaczej ustawiła się dzicz pogańska. Stanęli oni w dwóch półkolach, oddzielonych znaczną odległością od siebie. W pierwszym półkolu bliższem wojska polskiego, stały poniewolne zaciągi tatarskie, składały się z zawojowanych ludów przez Tatarów. Składały je zatem najrozmaitsze plemiona azyatyckie, składały je zawojowani i zmuszeni do hołdownictwa Rusini.

Gdy bowiem Tatarzy podbili pod swe panowanie jaki naród, zaraz zawojowanymi powiększali swoje szeregi wojownicze. W szeregach dowodzonych przez Batu-Chana mniejsza zaledwie połowa składała się z rodowitych Tatarów, reszta z poniewolnych zaciągów. Rodowici Tatarzy oszczędzali siebie w boju, dlatego też stawali w drugiem odleglejszem półkolu. Na pierwszy ogień pędzili innoplemieńców.

Tak też było i pod Chmielnikami. O świcie rozpoczął się bój krwawy. Polskie rycerstwo dobrze uzbrojone, walczyło odważnie, zrządziło też krwawą rzeź między dziczą azyatycką. Dzicz ta poniósłszy śród kilkogodzinnej walki ogromne straty, nie mogąc dłużej wytrzymać natarcia naszych wojowników, zaczyna ratować się ucieczką. Rycerstwo nasze jakkolwiek pomęczone kilkogodzinną walką, puszcza się w pogoń za uciekającymi, którzy rozbiegają się na wszystkie strony. Nasze przerzedzone szeregi spotykają świeże zastępy nieprzyjacielskie. Występują teraz dopiero do walki Tatarzy, którzy dotąd stali spokojnie ustawieni w dalszem półkolu. Lotem błyskawicy, żywe półkole rozsuwa się, zwiera i tworzy zamknięte koło, które coraz ciaśniejszem kręgiem ściska walczących, jak lwy naszych rycerzy. Zasypuje ich gradem strzał i pocisków.

Można przewidzieć koniec walki, tak nierównej. Rycerzy naszych coraz mniej, opór też stawiają coraz słabszy. Tatarzy wychodzą z boju zwycięzcami. »Wszycy dowódzcy, obaj wojewodowie, Włodzimierz i Pahosław; kasztelanowie Klimunt i Jakób Raciborowic, trupem swoim zaścielili pobojowisko. Przy nich dali gardło najprzedniejsi rycerze: Krystyn Sułkowic z Niedźwiedzia, Wojciech Stampoczyc, Mikołaj Witowic, Ziemięta, Grabina i Sulisław«.*)

Po strasznej klęsce pod Chmielnikiem nie było już komu bronić kraju od nawały tatarskiej. Garść ocalałych rycerzy krakowskich i sandomierskich nie ulękniona zwycięstwami pogan, szła na Śląsk. Tu bowiem książę śląski, Henryk Pobożny, zbierał rycerstwo, aby stawić czoło poganom.

Na wieść o klęsce chmielnickiej, szczupła drużyna, otaczająca w Krakowie księcia Bolesława, złożona z nielicznych rycerzy domowników i dworzan, błagała pana swego, aby opuścił Kraków i ucieczką ratował siebie i rodzinę. W tej ciężkiej chwili, nie pozostało nic innego do zrobienia. Zwycięzcy Tatarzy podążali w stronę Krakowa.

Bolesław Wstydliwy, otoczony swą wierną drużyną, opuścił Kraków, zdążając ku Węgrom. Za przykładem księcia poszli mieszkańcy Krakowa. Zamożniejsi z dobytkiem swoim uszli za granicę, uboższa ludność zabrawszy mienie, ukryła się w pobliskich górach, lasach lub niedostępnych trzęsawiskach. Z każdą godziną wyludniał się Kraków. Znalazła się jednak garstka odważnych, która nie chciała ratować się ucieczką.

Ci odważni zamknęli się w murach kościoła św. Andrzeja. Kościół miał silne grube mury, małe okienka i wyglądał na obronną warownię.

Kościół w warownię zamienił przed kikoma laty Konrad mazowiecki, stryj Bolesława Wstydliwego.

Chciwy panowania Konrad, toczył wojnę z Henrykiem Brodatym, który jako opiekun małoletniego podówczas Bolesława, panował. Konrad wpadłszy do Krakowa, obległ zamek, w którym zamknął się Henryk Brodaty. Konrad wtedy kazał przy kościele św. Andrzeja pobudować baszty i otoczyć kościół obronnymi wałami. W ten sposób kościół zamieniono w warownię, w której też usadowił się

*) Szajnocha: »Szkice historyczne«.

Konrad. Lecz nie długo się tu ostał, wypędził go stąd Henryk Brodaty.

Dziś w owej warowni szukali schronienia pozostali mieszkańcy starego grodu. Zgromadziwszy na prędce żywność i środki obrony, oczekiwali straszliwego wroga. Tatarzy po zwycięstwie pod Chmielnikami szli w stronę Krakowa, mordując po drodze bezbronną ludność, rabując, paląc miasteczka i klasztory.

Wieczorem, w sobotę poprzedzającą palmową niedzielę, zbliżał się do opustoszałego bezludnego Krakowa człowiek obdarty, wynędzniały, zabłocony, niosący na rękach jęczącego chłopczynę.

— Stachu, cicho! nie płacz, nie jęcz — mówił ów człowiek do dziecka.

W człowieku owym poznają zapewne czytelnicy Józka.

— Widzisz już jesteśmy blisko Krakowa — mówił znowu wędrowiec — tu odpoczniemy bezpiecznie, nie będziemy cierpieć zimna i głodu.

Stach wycieńczony głodem i trudami, chory z przeziębnięcia, nie mógł iść dalej o swoich siłach. Poczciwy brat starszy niósł go na rękach, znosząc wytrwale głód i zimno. Z obawy przed Tatarami przekradał się ostrożnie przez lasy i manowce. Niewygody i niedostatek znosił mężnie Józek, myśl bowiem, że w Krakowie znajdzie bezpieczne schronienie, dodawała mu odwagi i wytrwałości. Kraków uważał Józek, jako kres męczącej drogi i dlatego pomimo zmęczenia przemawiał wesoło do chorego dziecka, w chwili, gdy ujrzał wieże, licznych już podówczas kościołów starego grodu.

Gdy jednak Józek, wszedłszy do miasta ujrzał, że jest bezludne, skamieniał z podziwu i przerażenia. Domyślił się odrazu, że miastu grozi niebezpieczeństwo, że przed Tatarami uszła ludność krakowska. Rozpacz ogarnęła chłopaka. Do dalszej drogi brakowało mu już sił. Zresztą gdzie uciekać? gdzie skryć się przed tą straszną nawałą? zalewającą kraj cały. W zmęczonej głowie Józka, żadna dobra myśl powstać nie mogła, szedł przez miasto znękany, patrząc na wyludnione uliczki, na opustoszałe domki, w których nie gorzał wesoły, ciepły ogień, nie błyszczało żadne światełko.

Kraków ówczesny nie był podobny do dzisiejszego Krakowa. Nie było w nim murowanych gmachów, z wyjątkiem kościołów. Miasto składało się z nieregularnie stawianych drewnianych domów, z których pokaźniejsze wyglądały jak dwory lub dworki wiejskie, najuboższe zaś, jak lepianki i chaty. Koło nieregularnie porozrzucanych domów mieszkalnych, znajdowały się stajnie, a nawet chlewki, otaczały je mniejsze lub większe ogródki. Gdyby nie kościoły i zamek na Wawelu, Kraków wyglądałby jak wielka wieś, mająca liczne dwory i liczne chaty.

Zmęczony śmiertelnie Józek z jęczącym Stachem, szedł bezmyślnie przez wyludnione miasto, patrząc osłupiałemi oczami w dół. Był tak zmęczony przebytą drogą, to też zaciszne domki kusiły biedaka do odpoczynku. Niech się dzieje co chce, myślał, niech mnie zabiorą Tatarzy, ja odpocząć muszę. Nie mam sił do dalszej drogi, zresztą czy później, czy prędzej nie ujdę dziczy tatarskiej.

W chwili, gdy Józek chciał wejść do najbliższej chaty, ujrzał w dali światło. Na zmęczonej twarzy parobczaka zabłysnął na ten widok promień nadziei, promień radości. Zatrzymał się nasz wędrowiec i utkwił wzrok w połyskującym wesoło światełku. Przecież są jeszcze ludzie w Krakowie, pomyślał i podążył w stronę kościoła świętego Andrzeja, skąd dobywało się światło. Przyszedłszy pod okopy, otaczające kościół, począł wołać o litość żałosnym, słabym głosem.

Czuwano snać w twierdzy, bo zaraz posłyszano jękliwy głos Józka. Straże wypytawszy przechodnia co za jeden i skąd przybywa, przekonawszy się, że nie jest szpiegiem tatarskim, wpuściły nieszczęśliwego do twierdzy. Wkrótce potem, obaj bracia nasyceni, napojeni, obmyci i czysto przyodziani, leżeli na słomie w jakimś zakątku twierdzy. Po mozolnej drodze wśród zimna, głodu, niewygody i ciągłej trwogi, zdawało się naszym podróżnym, że dostali się do raju. Stach przestał jęczeć, przyłożywszy głowę, nie do poduszki, bo jej nie dostał, lecz do słomy, usnął twardo. Józek jednak pomimo zmęczenia, długo usnąć nie mógł. Nie dały mu zasnąć posłyszane tu wieści.

Józek po bitwie pod Turskiem, skąd uszedł szczęśliwie z rąk tatarskich, nic nie wiedział, co działo się w kraju, przedzierał się bowiem do Krakowa lasami i bezludnemi bezdrożami, najczęściej nocą, aby uniknąć spotkania z Tatarami. To też nie słyszał ani o klęsce pod Chmielnikami, ani o ucieczce księstwa do Węgier, ani też o tem, że Tatarzy ciągną na Kraków.

Teraz zatem chociaż znalazł schronienie z bratem, spać nie mógł z obawy, że prędzej, czy później, dostanie się w ręce dziczy tatarskiej.

Nie oparło się poganom rycerstwo, czyż oprze się garstka, odważnych, zamknięta w kościele św. Andrzeja? Biedny chłopak nie mógł

Nadzwyczajny dodatek do Nru 5 „Przodownicy“ z r. 1905.

O pielęgnowaniu dzieci.

»W zdrowem ciele duch zdrowy«, mówili ludzie jeszcze w starożytności, a prawdę tych słów stwierdzamy niemal codziennem doświadczeniem. Widzimy bowiem, jak człowiekowi zdrowemu i silnemu, najcięższa praca łatwo przychodzi, nie odbierając mu wesołości, ani pogody ducha.

Człowiek zdrowy, po ukończonej pracy, zasiada z apetytem do posiłku, a pokrzepiwszy się i odpocząwszy trochę, gotów znowu stanąć do pracy — lub, jeżeli ma już czas wolny od zajęć codziennych, rad jest co przeczytać, ażeby się dowiedzieć, co się na świecie dzieje i kiedyś działo, spieszy też ochotnie na każde zebranie, na którem porozmawiać można o sprawach, każdego oświeconego człowieka obchodzących. Jeżeli chodzi o przeprowadzenie jakiejś sprawy, która wprawdzie wiele trudów, starań i zabiegów wymaga, ale do dobra publicznego przyczynić się może, nie cofnie się przed nią człowiek, zdrowy na ciele i na duszy, bo czuje, że mu sił, a zatem ochoty i wytrwałości nie zabraknie. Wprawdzie pewną jest rzeczą, że pracowitość, ofiarność dla drugich, wytrwałość itp. cnoty, głównie od charakteru człowieka, od jego silnej woli zależą, że siłą ducha więcej, niż siłą ciała zdziałać można — jednak nawet według słów Pisma św., gdy chociaż »duch ochotny, ale ciało mdłe«, to człowiek i przy najlepszej woli nieraz upada i nie wszystko dokonać może tak, jakby tego pragnął. Zdarza się też najczęściej, że człowiek słabych sił, źle odżywiany, niema prawdziwej ochoty do pracy, że tylko konieczność go do niej zmusza; myśli też, jakby się jej mógł najprędzej pozbyć, zbywa ją byle jak, bo siły go opuszczają, a skoro nadejdzie chwila wytchnienia, rzuca się na posłanie i o niczem już więcej, jak o spaniu myśleć nie jest zdolny. Nic go nie obchodzi, co się na świecie dzieje, niema ochoty pomyśleć nawet o tem, co w gospodarstwie trzebaby zmienić lub ulepszyć, ażeby sobie byt poprawić; żyje z dnia na dzień i ze strachem myśli każdego wieczora, że jutro znowu do pracy stanąć trzeba będzie. Takich ludzi, pracujących ostatkiem sił, całemi nieraz latami, spotyka się więcej jeszcze w mieście, niż na wsi, gdzie ludzie przynajmniej świeżem powietrzem oddychać mogą; praca bowiem na świeżem powietrzu bez porównania mniej męczy, niż wśród czterech ścian izby, często wilgotnej i ciemnej, mniej taka, która ruch daje, niż zmuszająca do siedzenia ciągłego, przy warsztacie, lub nawet w biurze przy pisaniu.

Dzieci rodziców słabych, nie mogących ich w dodatku dobrze odżywiać, nigdy silne być nie mogą, i tak z pokolenia na pokolenie przechodzi coraz większy upadek sił ciała i ducha zarazem.

Społeczeństwo nasze jednak potrzebuje ludzi zdrowych i silnych, bo inaczej nie będzie się mogło podnosić ani materyalnie, to znaczy na majątku, ani duchowo, czyli pod względem oświaty, zrozumienia naszych potrzeb narodowych itp. Powinniśmy zatem bardzo dbać o to, ażeby dzieci nasze na silnych i zdrowych ludzi wychować, a więc przedewszystkiem zastanowić się nad tem, co jest głównym powodem tego, że tak ludzie coraz bardziej słabną i karleją? Że ludzie rzeczywiście osłabli i skarleli, najłatwiej się przekonać możemy, gdy będziemy zwiedzali stare zamki lub muzea i tam przypatrzymy się dawnem zbrojom żelaznem, koszulkom z kółek stalowych, mieczom ciężkim, tarczom — temu wszystkiemu wogóle, co stanowiło zbroję rycerza, wyruszającego na pole walki. Teraźniejszy człowiek przeciętny, to znaczy ani bardzo słaby, ani olbrzymio nie rozrosły, udźwignąć na sobie takiej zbroi nie potrafi — a przecież rycerze w tych samych zbrojach wskakiwali bez strzemion na konia i wykonywali podczas walki najtrudniejsze zwroty z zupełną swobodą ruchów. Powody zaś, które sprowadziły głównie taki upadek sił u ludzi, jest nieumiejętne pielęgnowanie dzieci, nędzne pożywienie, brak zdrowego powietrza, pijaństwo, wogóle życie w warunkach, które się bardzo zasadom zachowania zdrowia sprzeciwiają, a co i wśród ludzi zamożnych bardzo często się spotyka. Musimy przeciw temu działać, musimy robić wszystko, co tylko jest w naszej mocy, ażeby złemu zapobiec... Jeżeli wszystkie matki wezmą się za ręce i zaczną za radą lekarzy i osób doświadczonych pod tym względem, lepiej pielęgnować swoje dzieci, całe nowe pokolenie

będzie już silniejsze. Ale jak setek lat było potrzeba, ażeby ludzie się tak wyrodzili, tak znowu niemało czasu upłynie, nim wpływ naszych starań będzie widoczny. A ktoby nam powiedział, że to co w książkach piszą jest wymysłem lekarzy, że nas matki bez książek wychowały i żyjemy, wyliczmy mu, ile to dzieci u sąsiadów naszych wymarło, wychowały się tylko te, które bardzo silne na świat przyszły; ale siły ich, zamiast się rozwijać coraz więcej, zużyte zostały na zwalczanie szkodliwych wpływów złego powietrza, niezdrowego pożywienia, zatkania porów skóry przez brud i t. p. Takie dzieci, odpowiednio pielęgnowane, wyrosłyby na bardzo silnych ludzi, a tak nieraz ledwie żyją i matki ich nie mają się czem chwalić, że dzieci i bez książki wychować potrafiły. Będzie to więc wielką naszą zasługą, gdy wyrzekając się dawnych przesądów, oddamy się całą duszą wychowywaniu naszych dzieci; gdy obok wszczepiania w serca ich pobożności, wyrabiania charakteru i silnej woli, będziemy się niemniej starały o rozwój sił ich ciała. Rady poniżej podane są tak łatwe do wykonania, że nawet w najuboższej chacie wiejskiej każdą z nich zastosować z łatwością można; o tem się każda matka przekona, jeżeli tylko spróbować zechce.

Z pomocą Bożą, może znowu kiedyś, jak za dawnych czasów, Polska będzie się mogła poszczycić młodzieżą dziarską, silną, odważną, gotową tak do pracy, jak i do walki, a nie dającą się w niczem nikomu wyprzedzić — a wszystko to może być zasługą obecnych młodych matek, którem w ich trudnych ale świętych obowiązkach, życzymy z całego serca pomocy i błogosławieństwa Bożego.

O zdrowie dziecka powinni rodzice troszczyć się już przed jego urodzeniem. A ponieważ dzieci rodziców dotkniętych ciężką chorobą nieuleczalną nigdy zdrowe być nie mogą, przeto ludzie tacy wcale w związki małżeńskie wstępować nie powinni. Równie zgubny wpływ, jak choroby dziedziczne, wywiera na dzieci pijaństwo rodziców, a nawet jeszcze zgubniejszy. Uczeni wykazali bowiem na podstawie dokładnych dochodzeń, że prawie wszyscy nałogowi złodzieje, podpalacze, włóczęgi, waryaci, idyoci (tj. niezdolni do nauczenia się jakiejkolwiek pracy), byli dziećmi i wnukami pijaków nałogowych. Rozmaite kalectwa, skłonność do chorób rozmaitych, do wyrzutów skórnych itp., pochodzą najczęściej z tego samego źródła. A im więcej następujących po sobie pokoleń pijaństwu się oddaje, tem większe zwyrodnienie na ciele i umyśle przychodzi. Z tego wynika, że pijacy także wcale żenić się nie powinni, jeżeli nie czują się na siłach, ażeby się swego nałogu najzupełniej pozbyć mogli, szczególniej co do używania wódki i w takim stopniu, że przychodzą do utraty przytomności. Umiarkowane używanie napojów spirytusowych mniej jest szkodliwe, jednak kobieta, która ma zostać matką, powinna się zupełnie wyrzec nie tylko wódki, ale nawet piwa i wina; tak samo zachować się ma podczas karmienia dziecka, ponieważ szczególniej na rozwój dzieci zgubnie wpływają napoje gorące nawet przez pośrednictwo matki. Kobieta brzemienna powinna unikać dźwigania zbyt wielkich ciężarów, starać się być zawsze wesołą, nie poddawać zmartwieniom i smutkom, nie złościć ciągle, bo i to źle bardzo na rozwój dziecka wpływa. Ma także obowiązek dobrze się odżywiać, na co i Kościół się zgadza, gdy uwalnia brzemienne kobiety od ścisłych postów. Powinna zatem jeść zawsze do sytości potrawy omaszczone i pić dosyć mleka. Zapatrzenie, lub odmówienie jakiej zachcianki kobiecie brzemiennej, nigdy nie zaszkodzi. Jest to przesąd, w który żadna rozumna kobieta nie wierzy. Jeżeli jest zdrową z natury i męża ma zdrowego, to żeby nie wiem na co patrzyła i jak najwięcej zachcianek (często dla zdrowia szkodliwych) sobie odmówiła, nic jej to nie zaszkodzi, a dziecko będzie piękne, zdrowe i silne.

Jak się kobieta ma w czasie połogu zachować, wskaże akuszerka; nam chodzi tylko o podanie rad, jak sobie postępować ma w zwykłych codziennych warunkach z pielęgnowaniem dziecka. Chyba nie trzeba przypominać, że każda rozumna matka wykluczy w tak ważnej chwili swego życia, wszystkie zabobony i przesądy, które dla zdrowia najmniejszego znaczenia mieć nie mogą. Wezwać tylko trzeba akuszerkę znaną z sumienności, zręczności i troskliwości, a gdyby ta pomocy lekarza zażądała, nie wahać się ani chwili ze sprowadzeniem go, ponieważ od szybkiej pomocy często nie tylko zdrowie, ale i życie matki i dziecka zależy. Tyle jeszcze tylko dodamy, że po urodzeniu dziecka, powinna położnica przynajmniej przez tydzień leżeć spokojnie, a po wstaniu jeszcze przez parę tygodni zachowywać się tak, żeby zdrowie i siły w zupełności odzyskać mogła.

Jeszcze przed urodzeniem dziecka trzeba przygotować parę krótkich koszulek, z tyłu na tasiemeczki wiązanych, ze dwie lekkie pierzynki, oraz pieluszek jak najwięcej; dziecko

bowiem wielkiej czystości potrzebuje, jeżeli chcemy, żeby się zdrowo chowało. Najlepiej użyć na nie starej bielizny, ażeby były dostatecznie miękkie i delikatnego ciałka dziecka nie ugniatały.

Przynajmniej do sześciu miesięcy powinno być dziecko codzień kąpane w ciepłej, ale nie gorącej wodzie. Wtedy tylko zaprzestać kąpieli, gdy dziecko bardzo kaszle, silny ma katar, lub gorączkę. Najlepiej kąpać dziecko wieczorem, albowiem po kąpieli śpi najdłużej, więc przy dziecku i matka będzie miała noc spokojną. Do kąpieli trzeba przygotować wanienkę tak dużą, żeby dziecko mogło w niej leżeć zupełnie swobodnie na podłożonych pod główkę czystych pieluszkach; jeżeli bowiem naczynie, w którem się dziecko kąpie, jest za małe, jak to się na wsi widuje czasem, i ciałko dziecka nie jest przynajmniej do większej połowy w wodzie zanurzone, może się ono bardzo łatwo przeziębić. Woda, parując z odkrytych części skóry, zabiera bardzo wiele ciepła, dlatego trzeba dziecko bez ustanku wodą oblewać. Najpierw, dopóki woda czysta zupełnie, przemyć oczka mięką szmatką, a potem wymyć starannie pachwiny i wszystkie miejsca zabrudzone, a nakoniec główkę. Zakorzeniony jest bardzo u nas przesąd, że zmywanie dziecku ciemiączka, jest bardzo dla niego szkodliwe. Tego przesądu powinnyśmy się także pozbyć. Ciemiączko powstaje z wydzielającego się ze skóry tłuszczu, do którego przylepia się kurz i brud wszelkiego rodzaju. Że skóra tłuszcz ze siebie wydziela, wiemy wszyscy, gdyż po dłuższem czesaniu i przyciskaniu jej gęstym grzebieniem, włosy nabierają połysku, jak gdyby były tłuszczem jakim posmarowane. Ciemiączko najłatwiej usunąć przez namydlenie je ręką, a nie kawałkiem mydła, i zmycie mięką szmatką. Jeżeli się utworzyła warstwa grubsza, posmarować przed kąpielą niesłonem masłem, a zejdzie z łatwością. Zaszkodzić może tylko silne przyciskanie przy myciu i obcieraniu główki, która jest bardzo delikatna. Brud jednak trzeba usunąć koniecznie, ponieważ przez dziurki znajdujące się w skórze, a które przez szkło powiększające dokładniej widzieć możemy, wchodzi do ciała powietrze. Gdy dziurki na którejkolwiek części ciała zostaną brudem zatkane, powietrze się tam dostać nie może i rozwój prawidłowy staje się niemożliwym. Wogóle zatem skórę bardzo czysto powinniśmy utrzymywać, ponieważ przez nią oddychamy także tak, jak przez płuca, a jak ważną rzeczą jest oddychanie przez skórę, przekonano się raz, gdy przy jakiemś przedstawieniu kilkoletnie dziecko miało wyobrażać aniołka. Pomalowano je całe złotą farbą i... dziecko się udusiło, nim się spostrzeżono dla czego się dusi, bo farby tak łatwo ze skóry usunąć nie było można. Jeżeli tylko trzy czwarte części skóry, po oparzeniu np., powietrza do środka ciała przeprowadzać nie mogą, człowiek umrzeć musi. Z tego wszystkiego poznajemy, jak nadzwyczajnie ważną rzeczą jest utrzymanie skóry dziecka w czystości, jeżeli chcemy ażeby prędko rosło i dobrze się rozwijało. Musimy jeszcze zwrócić szczególną uwagę na mycie uszów. Wiele kobiet sądzi, że przez mycie uszów dziecko ogłuchnąć może. Błędem to jest, jak tyle innych. Uszy powinno się myć starannie nie tylko z wierzchu, ale i w środku rożkiem miękiej pieluszki, ponieważ gromadząca się w uchu woskowina zatyka i uciska błonę słuchową i ona to prędzej głuchotę sprowadzić może. Wszystko to trzeba robić zręcznie i prędko, tak, żeby kąpiel dłużej jak 6 minut nie trwała. Po wyjęciu z kąpieli, owinąć dziecko jak najprędzej w suche pieluszki i jeżeli w izbie chłodno, otulić zaraz dobrze pierzynką i obwiązać powijakiem, ażeby się po kąpieli dobrze wygrzało. Jeżeli zaś w izbie dosyć ciepło, to po osuszeniu pieluszką, zaraz włożyć koszulkę, a w zimie na nią jeszcze kaftaniczek barchanowy. Na pierzynkę kwadratową położyć ceratkę, jeżeli ją kupić możemy, na nią pieluszkę, dziecko prędko owinąć i powijakiem lekko obwiązać na jakie pół godziny. Dziecko właściwie zapowinięte powinno być tylko do noszenia, ażeby się nie wysunęło. Nosić jednak powinno się je jak najmniej, a szczególniej nie pozwalać nosić kilkoletnim malcom, które je ledwie udźwignąć mogą, bo o wypadek w takich warunkach nie trudno. Dziecko powinno zupełnie swobodnie leżeć w kołysce, z pewnością ani się nie skrzywi, ani garbu nie będzie miało, jeżeli go powijakami krępować nie będziemy. Niech się swobodnie wyciąga, jak mu się podoba, a wtedy najprościej wyrośnie. Jeżeli się rozkrywa, to przywiązać pierzynkę za rogi do kołyski, albo zresztą powijaczem obwiązać, ale tak lekko, jak tego konieczność wymaga, ażeby dziecko obnażone nie leżało i nie przeziębiło się.

Kołysanie także dla dziecka koniecznie potrzebne nie jest; niektóre dzieci zupełnie bez kołyski się wychowują, ale nie każde się bez niej obejdzie; chodzi tylko o to, by dziecka bez ustanku nie kołysać, bo jak się do tego przyzwyczai, to i matka ani chwili wypoczynku

niema i nawet w nocy kołysać nieraz musi, ani dla dziecka zdrowym taki nieustanny ruch nie będzie. Najzdrowszą kołyską będzie rodzaj głębokiego, podłużnego kosza, zawieszonego u sufitu na sznurach, albo na dwóch słupkach drewnianych, połączonych u dołu podnóżem. Kołyski na biegunach uderzają za każdem poruszeniem o podłogę i sprawiają wstrząśnienie dla rozwoju dziecka szkodliwe, więc używać się ich wcale nie powinno. Kołyska musi być bardzo czysto utrzymywana, ażeby dziecko wyziewami złymi nie oddychało. Na spód kołyski kładzie się sienniczek, miękiem sianem wypchany, na to ceratkę, która wilgoci nie przepuszcza, jeżeli ją mieć możemy. Jeżeli ceratki niema, to na sienniczek kładzie się kawałek flaneli, barchanu lub starej, grubej chustki, co się w domu znajdzie, a na to dopiero pieluszki czyste. Pod głowę małą, miękką poduszeczkę. Pieluszki trzeba zmieniać ile razy spostrzeżemy, że jest mokra, a jeżeli i podkład pod nią mokry, także zaraz suchym zastąpić. Podkład taki musi być często przeprany, a siano także zmieniać należy w sienniczku co parę tygodni. Jak dziecko skończy pół roku, można już zaczynać przyzwyczajać je do porządku przez sadzanie na nocniczek. Matka oszczędzi sobie prania pieluszek, a dziecko bardzo wiele na tem zyska, bo wiemy już, jak ważną rolę w rozwoju dziecka odgrywa czystość skóry. Zaniedbanie pod tym względem ma takie skutki, że potem dziecko do kilku lat porządku nauczyć trudno i w nocy pościel moczy. Jeżeli dziecko jeszcze się w pierzynkę zawija, to jedna z nich powinna ciągle wisieć na dworze, w lecie czy w zimie, ażeby się dobrze wywietrzyła, a przed zmienianiem, trzeba ją dobrze wygrzać przy piecu. Pieluszki zmieniać często, a gdyby się pomimo tego pokazały zaczerwienienia na skórze, trzeba zaraz zasypać proszkiem aptecznym do zasypywania, albo w braku tego, choćby mąką suchą, bo dziecku takie wyprzenie ból sprawia, a z zaniedbania mogą się nawet potworzyć ranki. W razie takiego zaczerwienienia, dobrze jest dodać do kąpieli przecedzonego odwaru z garści grysu, czyli otrąb pszennych.

Często, gdy dziecko krzyczy, matka daje mu piersi, a jeżeli ssać nie chce dlatego, że nie głodne, kołysze tak długo, dopóki ze zmęczenia i zawrotu głowy nie uśnie, ale sen taki długo nie trwa i dziecko ciągle jest niespokojne. Jeżeli więc dziecko małe zacznie krzyczeć, trzeba najpierw zobaczyć, czy nie leży na mokrem, czy nie jest gdzie odparzone, czy go co nie gniecie; jak się pieluszkę zmieni, odparzone miejsca pozasypuje, to się często dziecko zaraz uspokoi. Przyzwyczajać nie powinnyśmy także dziecka do usypiania na rękach, a co jeszcze gorsze, do spania z niem razem. Prawda, że matka zmęczona całodzienną pracą, karmiąc dziecko w nocy mimo woli opada na poduszki i usypia z niem razem; gdy sobie jednak przypomni, ile to dzieci zostało przez matki we śnie uduszonych, ocuci ją to z pewnością i po nakarmieniu włoży dziecko znowu do kołyski. Oprócz uduszenia, ma spanie z matką i inne złe skutki dla dziecka. Oddychanie bowiem wyziewami starszych bardzo szkodliwe jest dla takiego delikatnego stworzenia.

Kołyska powinna być tak ustawiona, ażeby ani gorąco od pieca nie parzyło, ani zimno za każdem otwarciem drzwi nie dochodziło do dziecka; ażeby ani światło słoneczne, ani od ogniska lub lampy, nie padało mu wprost na oczy, co powoduje zapalenie oczu, osłabia wzrok na całe życie, a nawet może być przyczyną zupełnej jego utraty. Szczególniej, gdzie cała rodzina mieszka w jednej izbie, należy umieścić u haka, na którym wisi kołyska, kawałek płótna szarego, tak szerokiego, jak długą jest kołyska i spadającego poniżej niej. Tem płótnem osłania się kołyskę z tej strony, z której na gorąco, zimno lub światło jaskrawe jest wystawioną. Taka zasłona jednak tylko po jednej stronie może się znajdować, dziecko bowiem ciągle świeżem powietrzem oddychać musi. Dlatego też niema nic szkodliwszego dla dzieci, jak wózki w miastach używane z zapuszczanemi firaneczkami, bo do takiej budki, szczelnie zasłoniętej, wcale świeże powietrze dostać się nie może. Tak samo szkodliwem jest przykrywanie dziecka chusteczką, wprost na główkę położoną, w celu osłonienia oczu od blasku słonecznego. Zasłona, o której mówiliśmy, jest najlepsza, bo zostawia dziecku zupełną, a tak dla niego konieczną swobodę.

Powietrze w izbie powinno być zawsze czyste i świeże. Dlatego też okna muszą być na zawiasach a szczelnie dopasowane, ażeby z nich nie wiało; ale gdy dzień słoneczny i suchy, to nawet w zimie powinno się okno otworzyć przynajmniej na pół godziny. Nie obawiajmy się, że się izba wyziębi. Przekonamy się bowiem łatwo, że świeże powietrze, po zamknięciu okna, ogrzeje się daleko prędzej, niż pełne zaduchu. (C. d. n.).

W. W.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka** w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

odpowiedzieć sobie twierdząco. Cóż zatem dziwnego, że myśli trwożliwe, spędziły sen, ze zmęczonych powiek Józka.

Nazajutrz była niedziela palmowa, obchodzona od wieków uroczyście przez chrześcijan. Ludność, zamknięta w kościele św. Andrzeja, modlitwą gorącą obchodziła dzisiejszą uroczystość. Naraz, rozległy się w powietrzu dzikie okrzyki. Ci, co już mieli nieszczęście spotykania się z Tatarami; poznali, że krzyki te wydali dzicy najezdcy. Istotnie, Tatarzy weszli do Krakowa; a zastawszy bezludne i opustoszałe miasto, krzyczeli a raczej wyli z niezadowolenia. Na pierwszym wstępie do stolicy spotkał Tatarów bolesny zawód; liczyli bowiem na bogate łupy, a zastali pustkę jeno.

W jednem oka mgnieniu, rozsypali się po mieście, to też spostrzegli, że nie całe miasto jest bezludne. Ujrzeli czuwających za okopami, w kościele św. Andrzeja. Tatarzy, chciwi rabunku, myśleli, że mieszkańcy Krakowa, wszystkie skarby, ukryli w murach kościoła. Rzucili się też z wielką natarczywością na okopy. Zamknięci w twierdzy przyjęli Tatarów gradem kamieni, belek i ukropem. Dzicz wyjąc z bólu, odstąpiła na chwilę od oblężenia. Gdy jednak powtórne próby okazały się bez skutku — Tatarzy nie umieli zdobywać miast, nie znali bowiem machin do zdobywania okopów — głodem postanowili zmusić oblężonych do poddania.

Kilka tysięcy Tatarów otoczyło warownię, reszta pozajmowała opustoszałe domki w mieście, odpoczywając po trudach, obliczając straty w ludziach lub rozdzielając zdobyte w Polsce łupy. Rachunek nie wypadł korzystnie. Zdobyte łupy nie były dostatecznem wynagrodzeniem, za ciężkie trudy, za poległych w boju wojowników. Po dokładnym obrachunku, przekonali się Tatarzy, że w tej »nędznej krainie« napotkali więcej oporu, niż zdobyczy, więcej trudu niż zysku.

Plemiona azyatyckie podbijali z taką łatwością; to też spodziewali się, że i Polskę równie łatwo posiędą. Jakkolwiek Tatarzy, w każdej stoczonej dotąd bitwie z polskiem rycerstwem, wychodzili zwycięzcami, lecz zwycięstwa okupywali, wielką stratą ludzi. Poniesione straty obiecywali sobie nagrodzić rabunkiem w Krakowie, tymczasem napotkali tu pustki i opór w niepokaźnej twierdzy. Wściekłość ogarniała zawiedzionych w rachubie Tatarów. Z wielką też zaciekłością napadli na kościół św. Andrzeja. Wszystkie wysiłki dziczy, rozbijały się wobec walecznej obrony oblężonych, ci woleli śmierć niż niewolę tatarską.

Po bezskutecznych próbach, Tatarzy postanowili zaniechać oblężenia a nie tracąc czasu, pomknąć ku Węgrom. Węgry bowiem były celem wyprawy Batu-Chana. Jak wiemy, królestwo węgierskie słynęło z bogactw, i one to znęciły, chciwych zdobyczy Tatarów. Batu-Chan zebrawszy ogromne wojsko, liczące 600.000 głów, ruszył na wyprawę. Ale, że ogromna armia Batu-Chana potrzebowała wiele żywności, której nie spodziewano się znaleść po drodze, dlatego rozdzielili się Tatarzy na trzy wielkie oddziały, czyli szlaki. Jeden z nich, jak widzieliśmy, ciągnął pod wodzą samego Batu-Chana przez Mało-Polskę na Węgry, drugi, miał wkroczyć tamże od strony siedmiogrodzkiej, trzeci zaś przez Wielko-Polskę i Śląsk.

Tatarzy, ciągnąc przez Polskę, nie spodziewali się napotkać tak wielkiego oporu, nie liczyli na tak dotkliwe straty. To też niechcąc dalej dla marnej zdobyczy, tracić sił, postanowił Batu-Chan odpocząwszy w Krakowie, ciągnąć przez góry do Węgier.

Przez cały Wielki tydzień trwał odpoczynek. Wreszcie w Poniedziałek Wielkanocny opuścili Tatarzy miasto. Przed odejściem podpalili Kraków w kilku miejscach. Drewniane domy stanęły w ogniu, który w jednej chwili zamienił gród piastowski w morze płomieni. Straszny widok przedstawił się ludziom zamkniętym w murach kościoła. Zdawało im się, że stanęli u wrót piekła. Płonące miasto z dziczą tatarską, dawało wierny obraz piekła i szatanów.

Dzikie, przeraźliwe wrzaski, sprawiane przez Tatarów, słabły z chwilą każdą, co przekonywało oblęganych, że wróg oddala się z miasta. Nie śmieli jednak opuścić swego bezpiecznego kąta. Wielki tydzień i święta Wielkanocne przeżyli nieszczęśliwi w ciągłem oczekiwaniu śmierci. To też teraz, gdy Tatarzy opuścili miasto, oblężeni nie mogli uwierzyć w swoje oswobodzenie. W końcu wśród przerażonych znalazł się zuch, który ośmielił się wyjrzeć po za okopy, a przekonawszy się, że Tatarów niema, powrócił z radosną nowiną: »Niema Tatarów«! Ocalił nas Bóg! Wybawił nas z rąk szatańskich!«

Posłyszawszy pomyślną wiadomość, cała załoga padła na kolana, dziękując Bogu za ocalenie. Po modlitwie rozwarto bramy a zamknięci w twierdzy rozeszli się po mieście, z którego pozostały zgliszcza jedynie. Ocalały jedynie kamienne kościoły.

Józek i Stach przez czas oblężenia nie brali udziału w obronie twierdzy. Chorzy ze zmęczenia, zimna i głodu, powoli odzyskiwali zdrowie i siły. Wyszedłszy z twierdzy, nie wiedzieli co poczynać w spalonem i spustoszałem mieście? Wreszcie Józek przypomniał sobie jakichś znajomych na Zwierzyńcu, skierował kroki swe w tę stronę, lecz i tu także zgliszcza jeno dostrzedz można było. Nawet klasztor Norbertanek na Zwierzyńcu spalono i zburzono.

Co się stało z zakonnicami? Co się stało z mniszką Bronisławą, którą jako świętą czczono? Pytał Józek Stacha. Dzieciak oczywiście odpowiedzieć nie mógł, bo nie wiedział.

Naraz postać jakaś, okryta łachmanami, poruszyła się śród zgliszczów i gruzów, a przybliżając się do Józka rzekła:

Pytacie co stało się z zakonnicami? Oto niby ptaszyny spłoszone, gdy im gniazdo zabiorą, porozbiegały się w lasy i góry. Gdy już Tatarzy kraj nasz opuścili, powychodziły z ukrycia, a teraz tulą się po chatach wiejskich. Nasza święta panienka, Bronisława, pociesza ludzi nieszczęśliwych, błąkających się, jak dzikie zwierzęta po lasach i górach.

Ot! ja także zeszedłem na dziada, spalono mi dom, zrabowano bydło i dobytek. Zostałem w tych oto łachmanach; a takich jak ja, liczyć można na tysiące. Wszyscy niby błędne owce, plączą się po lasach i górach, lub po gruzach i zgliszczach.

— Co teraz poczynać będziemy? — wzdychał Józek łamiąc ręce.

Trzeba się wziąć do pracy i odbudować to, co burza pogańska obaliła.

Przez Mało-Polskę przeciągnęła już ta straszna burza, za to drugi oddział zdążał przez Śląsk ku Węgrom. Na Śląsku napotkali Tatarzy dzielny opór. Wrocław zastali opustoszony i bezludny, rzucili się też z zaciętością na zamek wrocławski; tu zamknęła się bezbronna ludność z miasta, wyczekując niechybnej śmierci. Nie było komu bronić zamku, rycerstwo bowiem pociągnęło z księciem śląskim pod Lignicę. Niedołężni starcy, słabe kobiety i dzieci przygarnęli się, w ciężkiej potrzebie, pod opiekę męża świętego, znajdującego się w twierdzy. Wszyscy wyciągali błagalne dłonie, do Dominikana, Czesława Odrowąża, brata św. Jacka, któregośmy na zamku krakowskim poznali: Mąż święty śród potrwożonych tłumów był spokojny. »W Bogu nadzieja!« powiadał. Naraz, rozdarły powietrze dzikie okrzyki tatarskie. Wróg straszliwy zbliża się ku zamkowi.

Wódz załogi, złożonej ze starców, niewiast i dzieci, Dominikanin Czesław, wychodzi na spotkanie nieprzyjaciela. Jakąż bronią pokona wrogów? Bronią nad broniami — modlitwą. Klęka na okopach, podnosi ręce i wzrok błagalny, wysokó, ku niebu.

Tatarzy, ujrzawszy na murach bezbronnego, w modlitewnej postawie, zakonnika, stanęli jak wryci. Onże to wyszedł na spotkanie i odparcie tysięcy napastników? Skąd płynie jego odwaga? Gdzie jego siła? pyta jeden drugiego.

Nim na pytanie zdołali sobie odpowiedzieć, ciemność zaległa całą okolicę. Nadciągnęła nagle ogromna chmura i zasłoniła słońce. Huk straszliwy rozległ się w powietrzu, niebo rozwarło się i posypały się na ziemię pioruny; godzące w Tatarów.

W tej chwili, zrozumieli poganie, że ów zakonnik, ma za sprzymierzeńca Boga. Zdało im się, że podniesionemi rękoma sięgał wysoko, wysoko! aż pod niebiosa. Zdało im się, że stamtąd ściągnął na nich pioruny.

Dotąd mniemali Tatarzy, że zapomocą ramienia boskiego, zawojują świat cały, gdy jednak pioruny spadły na ich głowy, przerazili się, bo spostrzegli, że potężne ramię Boże obróciło się przeciwko nim. Nie czuli w sobie siły do walczenia z potęgą nadziemską, to też z okrzykami przerażenia uciekali od wrocławskiego zamku. Goniły za nimi pioruny, uderzając raz po raz w tłumy Tatarów, zabijające raz po raz barbarzyńców.

Podazas gdy przerażeni poganie uciekali w nieładzie, św. Czesław pozostawał nieruchomy w modlitewnej postawie. Z początku modlitwa jego była prośbą gorącą, przy końcu zaś, dziękczynieniem. A byłoż dziękować za co! Bóg wysłuchał świętego męża, stanął w obronie starców, niewiast i dzieci. A więc Jego pokorny sługa, tonie teraz w modlitwie dziękczynnej.

Ludność, w zamku wrocławskim, uratowana cudem, biegnie oto ku swemu wybawcy!

On biegnących nie spostrzega, bo w tej chwili rozmawia z Bogiem. Rozmowy, nie śmią przerwać ocaleni, to też klękają koło św. Czesława i ku niemu zwracają się w modlitewnych postawach. Czują bowiem, że mają wśród siebie świętego.

W tejże chwili mąż święty oderwał oczy od nieba i spostrzegł, że ocaleni oddają mu cześć boską.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.